

Pracownia Śląska

3594

I

Bronisław Gryf Paciorkowski

Głogowa i Trembowla

DWA OPOWIADANIA
DZIEJOWE ❖ ❖ ❖ ❖

WARSZAWA

NAKŁADEM i DUKIEM M. ARCTA

1900

1.50

Pracownia Śląska



G Ł O G O W A

ROK 1109.

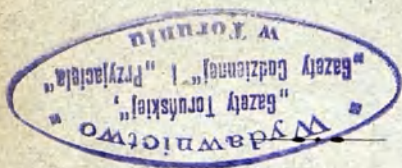


GŁOGOWA I TREMBOWLA

DWA FAKTY DZIEJOWE

skreślił

Bronisław Gryf Paciorkowski



WARSZAWA
NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA
1900

3594

I

15L1161d
B14c

Koraszewska Katowice 1933

X-4752	
3594	I



30.000/-

Дозволено Цензурою.

Варшава, 18 Октября 1899 года.

WSTĘP.

Głogowa, położona dzisiaj na lewym brzegu Odry, zwała się podobno za czasów Ptolomeusza Lugidunum i z początku zbudowaną była na prawym brzegu Odry, w nizinie, wśród błot i zarośli z cierni i głogów; stąd jej nazwa.

Bolesław Krzywousty w nagrodę za jej opór przy napadzie Henryka V przeniósł ją na brzeg lewy Odry w zdrowsze i suchsze miejsce.

Bolesław Kędzierzawy, cofając się przed Fryderykiem Barbarosą, aby Głogowa nie służyła mu za punkt oparcia, kazał ją spalić i dopiero za Henryka Brodatego miasto podnosi się z gruzów.

Przy podziale Śląska zostaje dzielnicą Konrada; ten nadaje jej prawa magdeburskie, a żona jego, Salomea, funduje w niej klasztor Dominikanów.

W r. 1333 Czesi chwilowo opanowują Głogowę i ostatecznie przyłączają ją do swego kraju 1488 r. Władysław Jagiellończyk, jako król czeski, oddaje ją w używalność bratu Zygmuntovi I, a po wybraniu go na króla Polski, Głogowa wraca do Czech; z niemi przechodzi pod panowanie Habsburgów, a w roku 1711 pod panowanie Hohenzollernów.

I. POGŁOSKI O NAPADZIE NIEMCÓW.

Upłynęła już pierwsza połowa 1109 r. Gorące lato dało się dobrze we znaki mieszkańcom Głogowy, to też część ich z zacieśnionego miasteczka wyszła wieczorem nad brzegi Odry, aby odetchnąć świeższem powietrzem, wiejącem od wody. Tu i owdzie tworzyły się gromadki znajomych, właścicieli domów, rzemieślników i czeladzi, gwarzących o tem i owem, o porządkach miejskich, urodzajach, handlu, pracy swojej i t. d.

Po nad brzegiem zasiadły również i kobiety, otoczone gromadkami dzieci lub z niemowlętami na ręku, opowiadając sobie o wypadkach dnia, o cenach żywności, towarów, a głównie o odzieży. Po nad rzeką przechadzały się dziewczęta w towarzystwie młodych mężczyzn, rozmawiając, żartując lub goniąc się po brzegu rzeki ze swobodą, właściwą młodemu wiekowi.

W gromadce tej wyróżniała się urodą i bogatszem ubraniem Klara, córka burmistrza, tak jak pomiędzy młodzieżą zdawał się trzymać prym Stefan, syn radnego miejskiego. Z zachowania się jego było widać, że on Klarę ma tylko na widoku. Różniło ich jednak położenie majątkowe.

Klara była jedynaczką zamożnego burmistrza, który posiadał i kamienicę i worki pragskich groszy; Stefan zaś był najstarszym z dziewięciorga rodzeństwa, jakie się wychowało w domu radnego.

Jedną z także przechadzających się gromadek nad rzeką stanowili honorationis miasta: burgemeister Lorentz, liczący około lat 50, wysoki, szczupły, ubrany w czamare z granatowego sukna z sutemi potrzebami; niższe ubranie miał wpuszczone w cholewy długich czarnych butów, na gło-

wie kapelusz filcowy stożkowej formy, obciągnięty szeroką czerwoną taśmą.

Otaczali go radni miasta: Polenczko, Kristos Czibulka, Kokorz Primko, Herman i Hanusz. Byli to ludzie również nie pierwszej młodości, ubrani po większej części w krótkie kaftany lub drelichowe kamizele, w pończochach i trzewikach; z uwagą słuchali słów burmistrza mówiącego:

— Pozwólcie się zapytać, pany rada, czy i do waszych uszów doszły doszły te pogłoski o Niemcach? Będąc w zeszłym tygodniu w Saganie, słyszałem, jakoby zamyślali napaść na ziemie słowiańskie. Nie chciałem wierzyć temu, bo skąd byłby powód? Nasz król Bolko nie zaczyna zupełnie cesarza Henryka; ot i teraz poszedł z wyprawą na Pomorze tylko dlatego, aby w tych pobratymczych nam ludach zaszcześcić naukę Pana naszego, Jezusa Chrysta, i przekonać ich, że wiara w Światowida nie da im odkupienia z grzechów żywota.

— Nietylko w Saganie o tem mówią,—odezwał się radny Czibulka,—onegdaj był u mnie brat mojej niewiasty, Wolfram z Krasna; on także mówił, że i u nich to samo słyhać i że z Niemcami Czechy się łączą, aby napaść na naszego króla.

— Wszystko to jest możliwem—odezwał się Hanusz—bo już dawno gadają o tem, że im jest za szczupło u siebie i dlatego zaczynają się rozlaźić.

Radny Herman, który dotąd tylko słuchał, tak zaczął:

— Napad Niemców nie powinien nam być tak strasznym; mamy dość mocne mury z łaski Króla Chrobrego i oreża też nieco, ale muszę zwrócić uwagę waszą, kamraci, że kto wie, czy nie mamy u siebie wroga? Jak wiecie, obok mnie na

Brzegskiej ulicy zamieszkała Machna, ta przybłęda z przed laty do naszego miasta, której mowa nawet wskazuje, że jest niemką; nieraz pytałem ją, dlaczego tak źle mówi po naszemu? Zmieszała się trochę i zaczęła opowiadać, że wydano ją za Niemca bardzo młodą i że przez lat kilkanaście mieszkając w Turynji z mężem, prawie zapomniała słowiańskiej gwary, choć z Nowego Miasta (Naumburg) pochodzi. Otóż od niejakiogoś czasu zauważyłem obcych ludzi, pojawiających się na Brzegskiej ulicy, którzy jak się pokazywali niespodzianie, tak i niewiedomo kiedy znikali; a mieszkająca obok niej przez ścianę Dorotea, żona naszego woźnego, mówiła mi, że u Machny słyszała nieraz szwabską mowę. Otóż byłoby dobrze, aby Burgemeister zarządził, jeżeli nie śledztwo, to nadzór tajny nad Machną, bo któż może wiedzieć, po co Niemcy tutaj się kręcą? Może to szpiegi, którzy przepatrują nasze kąty?

— Machna kiedyś mówiła,—odezwał się Primko—że z małżeństwa swego nie ma dzieci, a mąż jej nie miał żadnych krewnych. Dlaczego po śmierci męża osiadła w Głogowie, a nie w Naumburgu? To ciekawe. Mówiła, że majątku nie ma, a o ile się zdaje, żyje uczciwie, i koło niej nie biednie. To wszystko jest zagadką i daje do myślenia.

Wysłuchawszy spokojnie tych słów, Lorentz odezwał się po chwili:

— Nadzór nad Machną obradzim jutro, bo podług słów kolegi, to rzecz podejrzana; ale ja i co innego mam na celu. Trzeba nam wysłać roztropnego a wiernego człeka, znającego język Niemców, może do Merseburga, a może i do Ratusbony, gdzie najczęściej cesarz Henryk przebywa. Na całym porzeczu Odry oprócz Krosna, Bytomia (Beuten), nas, Wrocławia i Olawy, niema żadnych miejsc obronnych, mogących zatrzymać

niemców; sama zaś rzeka nie jest znów tak silną zaporą, żeby jej nie można przebyć. Otóż posłaniec nasz musi się wywiedzieć, co Niemcy myślą; wtenczas uprzedzimy króla, a on przygotowuje im dobre przyjęcie — nieprawdaż, kumowie?

— Macie rację, burgemejstrze; jutro zaraz będzie rada o tem wszystkiem, a teraz pójdźmy na kufel piwa do Gottfrieda — zaproponował Kokorz — już i ciemno się robi.

Wieści o Niemcach były również przedmiotem gawęd między młodzieżą. Stefan straszył dziewczuchy Raubritterami i opowiadał, że są bardzo łasi na krasne buziaki, bo ich niewiasty są jako pniaki, a mają nogi, jak stępory niedźwiedzie.

— Oj, jakby który zobaczył pannę Klarę — mówił Stefan — oblizywałby się do niej, jak kot do spyрки, i troczył zaraz do konia, bo kobiety u nich mają wartość tylko roboczą. Zaprzęgają je do pługa razem z wołem lub krową, albo z psem do wózka, a całą zabawą kobiet jest robienie pończoch — gdy szwab prawie cały dzień jest za domem, a wieczorem w szynku na piwie.

— A wy, Stefanie, jakżebyście się obchodzili z żoną? — zapytała Klara.

— Ja najprzód patrzyłbym na nią, jak w obrazek, a potem bym całował po całych dniach; mogłaby też robić, co się jej tylko podoba, byle mnie, jak się widzi, kochała.

— A jeżeliby nie chciała nic robić i była do niczego? To i z głodu przymarlibyście, Stefanie.

— Nie sędzę, aby tak być mogło, bo kochając, nie mogłaby patrzeć na głodnego męża, nie pozwoliłaby włożyć podartej sukni, brudnej koszuli. To też z taką tylko, coby mnie kochała, ożenię się.

— To się śpieszcie Stefanie — dorzuciła Agata — bo gdy Niemiec nas porwie, to wam się nic nie dostanie.

— Niedoczekanie ich!—odezwał się młody Sybler—nie damy naszych dziewczuch w niemiecką niewolę.

— A juści—odpowiedział Stefan—wpuścić Niemca do Głogowy, to jak wilka do owczarni. Lecz na to, aby ich nie wpuścić, mamy ręce silne i kusze mocne, a topory ostre; niech szczezną!

Tak rozmawiając, gromadka weszła w bramę miejską, skąd młodzież poodprowadzała dziewczki do domu.

II. NARADY MIESZCZAN.

Ratusz miasta Głogowy był to czworograniasty budynek z cegły o jednym piętrze, na środku rynku stojący. Na górze miał dwie izby i sień; tak samo na dole.

Na górze, po prawej stronie była tak zwana «Radziecka»; na środku tej izby stał stół, obstawiony zydlami. Przy ścianie naprzeciw okna, o małych, w ołów oprawnych szybkach, stały dwie szafy czarno bejcowane, a w nich mieściły się dokumenty miejskie: nadanie Bolesława Chrobrego, to jest erekcja miasta z podpisem króla w łacińskim języku, dowody własności wszystkich obywateli, trochę korespondencji z biskupami i wojewodami królewskimi co do danin i powinności miejskich.

Druga izba była kancelarją samego burmistrza, gdzie rozstrzygał on sprawy miejskie, godził swary i zatargi. Tu królował bezpośrednio pisarz miejski Gotwin, bo burmistrz tylko w dnie targowe tam przebywał. Na dole w jednej izbie były wagi miejskie, a w drugiej skład broni.

Pod ratuszem były piwnice, nie głębokie z powodu niskiego położenia miasta: jedna nosiła

nazwę kuny (więzienia), druga była miejscem przymusowych badań, z nieodzownemi do tego akcesorjami, jak ławy z rzemieniami, obcegi, haki i łańcuchy, żelazne krzesła, łóżę z krat, koła do łamania, kotły żelazne i t. p. W sklepieniu zaś na środku był hak do wciągania delikwenta, z przywiązanemi do nóg ciężarami.

Pisarz Gotwin była to osoba ciekawa; małego wzrostu z powodu dwóch garbów, z tyłu i z przodu, z nosem od piwa rubinowym, w krótkim po pas spencerku, a w długich butach, wieku lat 40, zawsze z piórem za uchem. Całe dnie był zajęty słuchaniem wieści, znoszonych mu przez mieszczanki głogowskie i przekupki z rynku, oraz przez męża wspomnianej Dorotei, woźnego Zygryda.

Gotwin był kumem wszystkich, bo trzymał do chrztu dzieci mieszczan, choćby w trzecią lub w czwartą parę; nie opuścił zaś żadnego wesela, żadnego pogrzebu i najmniejszej okazji, przy której wypić było można. Za to wszystko wywdzięczał się swym kumom opowiadaniem spraw miejskich oraz sądów burmistrza, udzielaniem rad i dawaniem protekcji swojej. Nieźle mu z tem było, bo często gęsto i halerz i grosz wpadł do obszernej kieszeni.

Pomimo swej połamanej figury, był to człowiek wesołego humoru, żartujący z siebie i z innych, co właśnie usuwało powód do obrazy. Stary kawaler, żył po większej części cudzym kosztem, korzystając z kumostwa ze wszystkiemi, co jak powiadał, przeszkadzało mu się ożenić, a to z powodu powinowactwa duchowego.

Na drugi dzień, gdy pan pisarz był już w kancelarji, wszedł woźny Zygrydus i zaraz przy drzwiach odezwał się:

— Panie pisarzu, będzie dzisiaj posiedzenie

radę. Pan Burgemeister kazał mi obejść radnych i wezwać ich, aby przyszedli o 10 rano do ratusza.

— Mnie nikt z radnych o tem nie mówił, — ofuknął go Gotwin, — zresztą co mi do tego? Niech sobie radzą.

Ale po chwili udobruchał się i kazał woźnemu otworzyć okno w izbie radnej, aby ją przewietrzyć.

Jakoż po nabożeństwie w tumie, zeszła się na ratusz sławetna rada miejska z Lorentzem na czele.

Polecono zaraz Zyfrydusowi, aby sprowadził Bertolda, który używany był często przez kupców w ich stosunkach handlowych, czy to do przesyłki pieniędzy, czy też do sprowadzania towarów z Lipska, Hamburga, Lubeki. Bertold był to bywalec, który jeździł po świecie, znał język Niemców i zyskał zaufanie wszystkich swą uczciwością i rzetelnością.

Zaraz na początku posiedzenia, radny Polenczko zrobił uwagę:

— Czyby nie było dobrze zaprosić pfarera (proboszcza) Nikolausa?

Na co odezwał się Herman:

— Wiecie o tem dobrze, że duchowni tutejsi nie są bardzo życzliwi królowi polskiemu od czasu, kiedy Cesarz Otto erygował arcybiskupstwo w Gnieźnie i poddał jego jurydykcji biskupów z Poznania, Wrocławia i Krakowa, oderwawszy djecezję tę od Dziewiczego Grodu (Magdeburga). Zapewne opowiadali wam ojcowie, jak był niezadowolony z tego biskup poznański Unger, skoro kazano mu słuchać brata Świętego Wojciecha, Arcybiskupa Radima, słowianina! Wiecie, jak mało jeszcze mamy księży ze słowian; prawie wszyscy są albo Niemcy, albo Frankoni, albo Włosi. Nasz Nikolaus zapewne sprzyja więcej Niemcom; po co go więc wtajemniczać w nasze

sprawy? Być może, że nas by nie zdradził, ale bezpieczniej na zimne dmuchać, niż parzyć się gorącym.

— Dobrze mówią — powiedział Hanusz, — radźmy sami w cichości. Im mniej rozgłosu, tem lepiej.

Gotwin słuchał ciekawie pode drzwiami.

Wtem od sieni dało się słyszeć szurganie nogami, potem pukanie, i na odpowiedź, że wejść można, pojawił się Bertold z Zyfrydusem; lecz temu ostatniemu kazano poczekać na dole na dalsze rozkazy, a do Bertolda Lorentz przemówił w te słowa:

— Kazaliśmy was prosić, Bertoldzie, bo chcemy was wysłać w podróż za sprawami miasta; więc najprzód zapytuję, czy jesteście czasowi?

— A czemu nie, panie burgermeistrze? Nie mam na teraz nic do roboty i pojedę, gdzie mi każeć.

— Czy byliście kiedy, Bertoldzie, w Ratysbonie?

— Nie, tam nie byłem. Tylko w Lipsku, Bremie, Hamburgu, Lubece, Wrocławiu, Krakowie, bo z temi miastami nasi kupcy mają stosunki, a tak daleko na zachód nie zapuszczałem się dotąd. O cóż to idzie?

— Idzie nam o bardzo wiele, lub też o nic — odpowiedział Lorentz — tylko musicie nam przyrzec, że to, o czem wam powiemy, zachowacie przy sobie tak, aby i pies o tem nie wiedział.

Podsłuchujący ciągle pode drzwiami Gotwin zamruczał:

— A juści... a ja to co? I ja będę wiedział.

— Otóż doszły nas wieści — ciągnął dalej Lorentz — że Niemcy wybierają się do nas w gościnę, a my temu nie bardzo radzi.

— Aha! zachciało się psu kielbasy — rzekł pod nosem Bertold.

— Żeby zaś na pewno wiedzieć o tem, pojedziecie, ma się rozumieć za pieniądze miasta, do miejsca pobytu Cesarza Henryka, do Ratysbony, do Norymbergi, lub Frankfurtu nad Menem, gdzie będzie można wymiarkować dobrze, czy te pogłoski są prawdziwe, i żywo wracajcie z wiadomością; ale trzeba wam jechać na Magdeburg, bo kto wie, czy Cesarz już tam nie jest.

— Ha, to się pojedzie—powiedział Bertold—ale muszę wprzód przepytąć naszych kramarzy, czy który nie ma interesu w tę stronę: byłoby to pokrywką mej drogi.

— Więc zgadzacie się, Bertoldzie?

— A za kogoż to mnie macie, panie burgermeistrze? Jedno, że lubię się włóczyć, a po drugie, kiedy trzeba usłużyć swoim, to trzeba.

— Ileż byście potrzebowali na kosztą podróży, Bertoldzie? — odezwał się Primko, bo był zarazem kasjerem miejskim.

— Juści trzeba wziąć z kope, bo nie wiem, jak daleko jechać przyjdzie, zresztą zdam liczbę po powrocie, a za fatygę dacie ojcowie, co tam uważać będziecie; to sprawa publiczna, więc mam też sumienie, aby swoich nie zedrzeć.

Powstał zaraz Primko, wyjął z kieszeni duży klucz i zbliżywszy się do jednej ściany, otworzył kryte drzwi do skarbcza, skąd wyjąwszy kilka worków z różną monetą, jął pracowicie odliczać ową kopę groszy w półgroszakach i halerrach różnego stempla.

Odebrawszy ową kopę, Bertold wsypał ją do trzosa, ukrytego pod kamizelą, opasał się nim i ze słowami:

— Ostańcie z Bogiem, jutro zaraz jadę — opuścił izbę radną.

Po chwili radny Herman zawołał Zyfrydusa, a gdy ten stanął przy drzwiach, zapytał:

— Powiedz mi, Zyfyrydusie, czy widziałeś jakich obcych, chodzących do Machny?

— A bo to raz, panie Radny?

— I cóż to byli za ludzie?—pytał Herman—czy tutejsi, czy niemcy?

— Kaj tam tutejsi! Dwóch, com zauważył, musi patrzeć na Niemców, a jeden, który ze trzy razy w ciągu dwóch tygodni zachodził, wyglądał musi na Czecha.

— Otóż widzisz, Zyfyrydusie, potrzeba, abyście z żoną uważali dobrze na Machnę i na tych, co ją odwiedzają, a jeżeli zauważycie kogoś podejrzanego, to zaraz dajcie znać panu burgemejstrowi, bo mamy wiadomości, że jakaś partja łotrzyków szykuje się obrabować miasto. Więcej nie potrzebujemy ci mówić; możesz odejść.

— Kamracie Kokorz—zwrócił się Lorentz do sąsiada—trzeba wam zrobić przegląd naszego oręża, przepatrzyć dobrze, co jest i jak jest, przekonać się o stanie kusz, halabard, łuków, włóczni, toporów, mieczów, bo pewno trzeba będzie uzbroić wszystkich. A obejrzyjcie dobrze cięciwy u łuków — może nadwątlały, może pogryzione przez szczury — i doprowadźcie wszystko do porządku. Jesteście wachterem od broni, więc nie zawadzi również obejrzeć, czy mamy na murach kamienie; przygotujcie także belki i o ile można, ciężkie kłody.

— A dlaczegóż nie mam wiedzieć, kamracie Burgermeistrze? Wiem przecież co robić, obejrzę wszystko, topory każę odczyścić i naostrzyć, ale na cięciwy i różne reperacje potrzebne, proszę o fundusz, bo nie jedno pewno trzeba będzie kupić.

— Na to kamrat Primko da, co potrzeba; wy zaś, kamracie Hermanie i Hanuszu, musicie pomyśleć o żywności, a nuż nas obledz zechcą?

Wiecie, że głód to zły gospodarz, a tu idzie o nas wszystkich; dobrzeby więc było przekonać się o tem, co mamy z zapasów i obrachować, ile tego będzie potrzeba co najmniej na miesiąc lub 6 tygodni.

— Jako majster rzeźniczy — odpowiedział Herman — znam rozchód tygodniowy mięsa; potrzeba więc będzie kupić kilkadziesiąt wołów i mieć je na folwarku pod murami, tak samo i baranów; trzeba także zakupić kilka setek funtów słoniny, ale o to niema obawy, bo w każdym prawie domu u nas jest po kilka sztuk wieprzów; trzeba będzie tylko zakazać sprzedaży po za miasto.

— A wy, Hanuszu, co powiecie o zbożu i mące? bo i tego musimy mieć duży zapas.

— Jako właściciel młynów — rzekł Hanusz — znam tygodniowy rozchód zboża i mąki, ale mam tego dostateczne zapasy; każę tylko zaraz mleć zboże i mąkę przewieźć do miasta, więc o to głowa niech was nie boli.

— Czy nie zapomnieliśmy jeszcze o czym? — zapytał Lorentz — mnie się zdaje, że trzeba będzie zaraz posłać z wiadomością do króla, jak jest i co jest; trzeba, żeby on wiedział o wszystkim i żeby śpieszył nam i całemu Szląskowi z obroną.

— Jużci, że prawda — powiedział Primko — ślijcie więc zaraz do króla, on pewno na Pomorzu. Powiedzcie zaraz Gotwinowi, aby jutro przygotował pergamin.

— A bodajecie skiśli — szeptał Gotwin za drzwiami do siebie — po co ja tak długo nadstawiałem uszu i zadałem sobie tyle fatygi? Oj! głupiec ze mnie! Tak jakby to bez Gotwina obejść się mogło, a to wszystko przez tę ciekawską Gertrudę, która zawsze chce wiedzieć, o czym radzą

na ratuszu. Mnie wprowadź z tem dobrze; kobieta niczego i nakarmi i napoi; ale co tam o tem mówić!

Wtem usłyszał wołanie Lorentza; udał, że otwiera nieomknięte drzwi i wszedł do izby radnej.

— Pisarzu Gotwinie, przygotuj mi na jutro pergamin i воск do pieczęci; będziemy pisali do króla — rzekł Lorentz.

Gotwin podrapał się w głowę:

— Inkaust to nam wyszedł, panie burgemejstrze.

— A to wasza rzecz, żeby był, bo na piasku patykiem pisać nie będziem. No chodźmy, kamraci; toć już dobrze z południa i ekliwo się robi, a w domu żony też gderać będą za przetrzymanie obiadu. Tylko zalecam sekret; to sprawy publiczne!

Radni opuścili ratusz.

III. SCHWYTANIE SZPIEGA.

Upłynął prawie tydzień. Przez ten czas miasto było w niezwykłym ruchu, wywołanym przez wypadki, a chociaż starano się nie robić rozgłosu, jednak same przygotowania sprawiły, że rozmawiano o wojnie w domu i na ulicy. W największym ruchu była Gertruda, biegając od domu do domu i trwożąc wszystkich niemcami; Gotwin zaś zacierał ręce, zającując u niej kneidle i popijając je piwem.

Jednego dnia nad ranem, zastukano do domu Lorentza. Zerwał się, otworzył okno i zobaczył Zyfrydusa z miną tajemniczą i strwożoną.

— Jest, jest, panie burgemejstrze.

— Kto jest? — pytał Lorentz, nie oprzytomniawszy jeszcze ze snu.

— Niemiec jest u Machny. Jak wlaź koło północy, tak siedzi i szwargocą.

— Biegaj po pacholków; niech Sobiejucha przywiedzie z sobą ze trzech, ja się zaraz ogarnę.

Nieza długo stanęło czterech ludzi w skórzanym hełmach, z halabardami w rękach i z burmistrzem na czele, a z Zyfrydem z tyłu i udali się na Brzegską ulicę.

Zyfrydus otworzył sień domu, w którym mieszkał w sąsiedztwie Machny.

Na łoskot otwieranych drzwi w oknie Machny zagasło światło, jakie było widać przez szczeliny zastawni. Lorentz zapukał do drzwi. Dopiero po dość długiej chwili otworzyła je Machna, niby zaspana i rozebrana, pytając, kto to? i czego chce?

— Zaraz wam powiem — rzekł Lorentz — a obracając się ku pacholkom, rozkazał:

— Wejdźcie i ujmijcie każdego, kogo znajdziecie w izbie tej kobiety.

— Cóż to za gwałt pan burgemejster chcą robić?—udając obrażoną, mówiła ze złością Machna — u mnie niema nikogo. Ja nie pozwalalam wchodzić w nocy do mieszkania swojego.

— Czego tak krzyczysz, Machno? Gwałtu zadawać ci nie chcę, ale jako burmistrz mam prawo wejścia wszędzie i zawsze. Niechaj wyjdzie ten niemiec, co masz go u siebie, a ja zaraz wrócę z nim razem do domu.

— Jaki niemiec? — krzyczała Machna — u mnie niema nikogo!

— Właśnie chcę się o tem przekonać. Sobiejucho, Krzepo i wy inni, przeszukajcie dokładnie mieszkanie.

Pomimo oporu Machny, straż weszła i po niedługiej chwili wyciągnęli z pod łóżka ukrywającego się tam człowieka.

— To brat mego nieboszczyka męża!—krzyczała Machna — on jest niemowa i ze strachu wlaź pod łóżko. Co pan burgemejster chce od niego?

— Czego ja chcę, to on się o tem dowie; ciebie zaś Machno przestrzegam, że będziesz odpowiadała za przyjmowanie i przechowywanie podejrzanych ludzi. Dosyć tego gadania! Sobiejucho, bierz go i prowadź do kuny, niech go zaraz Zyfyrydus zamknie, a dwóch niech pozostanie na straży do rana.

Lorentz, pachółkowie, więzień i Zyfyrydus opuścili dom na Brzegskiej. Machna złorzeczyła, głośno przeklinając żonę Zyfyrydusa, jako donosicielkę, że to z jej powodu aresztowano brata męża, który przyszedł ją odwiedzić. Potem zamknęła drzwi i zaczęła zbierać cenniejsze rzeczy i odzież, wiążąc je w węzeł, jakby gotowała się do drogi.

Około południa burmistrz zwołał radę i kazał przyprowadzić więźnia. Gdy go przyprowadzono, Lorentz zapytał go po polsku:

— Coś ty za jeden?

Niemiec wytrzeszczył tylko oczy i nie odpowiedział.

— On niemy — powiedział Herman śmiejąc się — bo to niemiec i na polskie pytanie wam nie odpowie, więc ja go zapytam po niemiecku.

Po chwili namysłu więzień odpowiedział, że jest z pod Magdeburga i przyszedł odwiedzić bratową.

— A pocóż chowałeś się pod łóżko?

— Ze strachu, myśląc, że to rozbójnicy dom napadli.

— Ty już nie pierwszy raz jesteś w Głogowie — mówił Herman.

Niemiec widocznie przestraszył się, i już

pokorniej zaprzeczył, biorąc Machnę za świadka, że po raz pierwszy tu przyszedł.

— Nie, kochanku, kłamiesz; tu są tacy, którzy cię już widzieli; przyznaj się więc, po co przychodzisz do nas?

— Aby z Machną się widzieć — była odpowiedź — i pogadać z nią o tym długu, jaki miałem u nieboszczyka jej męża.

— Zyfyrdusie — rzekł Burmistrz — idź i zwołaj Machny.

Ten wrócił wkrótce, donosząc, że mieszkanie zastał zamknięte i że widziano ją o świcie, jak wyszła z tłumokiem na plecach.

Herman powtórzył to niemcowi; ten zmieszał się jeszcze więcej i na powtórne wezwanie, aby powiedział powód swej bytności, znowu powtórzył, że przyszedł do Głogowy dla widzenia się z Machną.

Radni porozumieli się z sobą spojrzeniem i postanowili zastraszyć go użyciem tortury.

Przywołano Sobiejuchę, który spełniał zarazem obowiązki miejskiego oprawcy i polecono mu przygotować wszystko w piwnicy do przymusowego badania, dokąd przyprowadzono więźnia. Za nim poszła i cała Rada.

Wezwano go jeszcze raz do wyznania, lecz milczał. Wtedy Sobiejucha przywiązał mu postronki do pięści i pociągnął go w górę. Stęknął Niemiec głucho, a widząc, że to nie przelewki, obiecał powiedzieć wszystko. Wrócili więc wszyscy na górę, a więzień tak zaczął mówić:

— Jestem sługą markgraфа Miśnii, który kazał mi iść do Głogowy i dowiedzieć się, czy niema tam wojsk królewskich, czy miasto będzie mogło i chciało się bronić. To miałem wybadać, korzystając ze znajomości z Machną.

— A co za jedni byli ci dwaj, co ich widziano przedtem?

Oni mieli sobie rozkazane obejrzeć położenie miasta, mury, gdzie są mocniejsze a gdzie słabsze, ile miasto posiada ludzi, zapasów i t. p.

Po takim, o ile się zdaje, szczerem wyznaniu, burmistrz kazał więźnia zamknąć do lochu aż do dalszych wypadków, bo już nie podlegało wątpliwości zamierzone najście Niemców.

Kiedy go wyprowadzono, Lorentz zalecił każdemu z radnych pośpiech w przygotowaniach, a kasjerowi kazał wypłacić potrzebne fundusze, Kokorzowi na broń, a Hermanowi i Hanuszowi na żywność.

IV. PRZYGOTOWANIA DO OBRONY.

Przedewszystkiem burmistrz wydał polecenie zamykania bram; przy nich postawiono straż; na najwyższym murze od wschodu umieszczono czaty, Kokorz zaś miał codzień zbierać na rynku zdolnych do broni i ćwiczyć ich w używaniu kusz, łuków, toporów, dzid, halabard i mieczów.

Burmistrz sam wybrał poszczególnych dowódców i podzielił między nich części murów, aby każdy wiedział, czego ma bronić. O zachodnią stronę miasta nie kłopotano się, bo tej broniła Odra, lecz północno-wschodnią i południową osłaniały tylko doły, głogi i tarnina.

Wezwano całą prawie ludność, aby szła z łopatami do poprawiania nasypów, urządzenia samolówek za murami, naprawiania i odczyszczania fos. Murarze wzięli się do poprawy tynów, cieśle do przygotowania barykady bram, nabijania belek i kłoców ostremi kolcami z twardego drzewa, aby spychane z murów, szarpały ciała szturmujących. Pod murami przygotowywano ogniska do kotłów ze smołą i wodą gorącą, a gromada komorników miejskich, pomiędzy którymi

miał przywodzić Rudziwój, wyszła za mury z rydlami i łopatami kopać samolówki.

— Słuchajta ludzie—odezwał się Rudziwój— a to ci będziem mieć uciechę, jak w te doły, które pokopiemy, niemcy leżć zaczną i nikaj wilki zawyją.

— A juści! będą ci tam wyć — rzekł Kaczor — wpadną, to wyleżą.

— Otóż ja ci powiadam, że nie wyleżą tak łatwo — odpowiedział Rudziwój — a wiesz dlaczego, ty głupi Koczorze? — dlatego, że powbijam na dole koły ostro zakończone, na które wpadając, nadziewać się będą; oto dlatego mówiłem, że zawyją jak wilcy.

— Od czegożby ślipie mieli, aby iść dobrowolnie w te jamy? — mówił Koczor, który był zawsze w niezgodzie z Rudziwojem i teraz też postanowił sprzeczać się z nim na zabój.

— Ho, ho! kumie Koczorze, a to dlatego, że je tak pięknie przykryję badyłami i trawą, że choćby i wilcze oczy mieli, to nie zobaczą, aż poczują.

W podobny sposób przekomarzali się z sobą przy robocie, nad którą Rudziwój objął kierunek, nauczony już przez radnego Kokorza, jak te jamy urządzić. Jednem słowem miasto zawrzało niezwykłym ruchem.

Zobaczywszy te przygotowania, niektórzy z radnych mówili, że wysłanie Bertolda było zbytecznem; ale burmistrz nie żałował tego, gdyż był pewien, że od powracającego dowiedzą się nawet o dniu najścia Niemców.

Na placu miejskim młodzież ćwiczyła się chętnie w robieniu bronią pod przewodnictwem Kokorza, któremu pomagał Stefan, sam bowiem dla młodego wieku nie mógł jeszcze być dowódcą, w strzelaniu z łuków, ciskaniu włóczni, dzirya-

tów, w cięciach toporami i mieczami, w ustawianiu się, dzieleniu na oddziały, w rozpoznawaniu sygnałów na trąbkach i t. p.

Stefan wyciosał z desek coś w rodzaju figur, które okrył łachmanami; miało to przedstawiać Niemców. Do figur tych strzelano z łuków i śmiech wybuchał pomiędzy młodzieżą, gdy Kafka nie mógł trafić w mniemanego Niemca nawet na odległość 30 kroków.

— Popraw się, Kafka — wołano — bo cię kruk zadziobie!

— Hedwiga na ciebie patrzy Kafko — powiedział Zybler śmiejąc się — jakże trafisz do jej serca, gdy do Niemca trafić nie możesz?

Kafka marszczył tylko czoło i przy celowaniu przestępował z nogi na nogę zamiast stać spokojnie. Pot spływał mu obficie po twarzy.

— Już to nie twoja głowa, Zyblerze — odciął się nareszcie, pomocy twojej prosić nie będę co do Hedwigi; ale jeżeliś mój przyjaciel, to pokaż mi, jak się to celuje? — Czy patrzy się dwoma oczami, czy jednym, czy też obydwoma zamkniętymi?

— A to ci baran dopiero! — krzyknął Stefan oburzony — on chce z zamkniętymi oczami zabić Niemca! Czy i przed Hedwigą zamykasz oczy? Pewnie nie, tylko dobrze patrzysz, aby cię nie zdzieliła pięścią, gdy się zanadto do niej przysuniesz; a więc tak samo patrz na Niemca, bo on ma topór albo miecz w garści.

— Stańno tu przy mnie, ot tak — weź łuk lewą ręką, prawą połóż ze strzałą na cięciwie i lewe oko przymknij, ale za to patrz dobrze prawem w kierunku figury i dopiero puszczaj strzałę.

Podczas tych ćwiczeń młode dziewczuchy stały na rogu placu i przypatrywały się ciekawie wszystkiemu, a niezgrabnych wyśmiewały bez litości.

Klara nie spuszczała oczu ze Stefana. Cieszyło ją to, że był jakby starszym i najzręczniejszym do wszystkiego. On też wiedział, że na niego patrzą te niebieskie oczy, ale łudawał, że o tem nie wie i ich nie widzi. Hedwiga zaś słysząc wyśmiewanie się z Kafki i widząc jego próżne usiłowania, stała zasmucona, bo dziewczuchy znowu z niej się śmiały, że wybrała sobie takiego niezgrabiasza.

Starsze niewiasty urządzały szpital, przygotowując leki, opatrunki, szarpie, posłania, a robiły to ze łzami w oczach, gdyż nie ulegało wątpliwości, że będą przynosić tu ich mężów, braci i ojców.

W ten sposób przeszedł czas do połowy sierpnia. Zdawało się, że rezultat pracy odpowiada potrzebom. Nie było też widać wielkiej bojaźni pomiędzy ludnością Głogowy, czego dowodem było to, że nikt nawet z zamożnych nie wyjechał z zagrożonego miasta.

Nie pierwszy to raz Głogowa miała się spotkać i sprobować z Niemcami. Przodkowie już nieraz wodzili z nimi boje, a chociaż odwaga leżała we krwi słowiańskiej, musieli jednak z czasem odstąpić od brzegów Elby przed naporem niemieckim.

Dzisiaj Odra, z pomocą obwarowań Krosna, Bytomia, Głogowy, Wrocławia i Olawy, znów miała być puklerzem Słowian; dawało to niby jakąś pewność, ale jeżeli brzegów nie będą bronić ramiona silne, Niemcy mogą przejść rzekę pomiędzy temi miastami i niszczyć kraj.

V. NAJŚCIE NIEMCÓW.

Dnia 20 sierpnia do drzwi burmistrza Lorentza zapukał z pośpiechem Bertold. Był jesz-

cze w podróznem odzieniu i osypany kurzem, widocznie przybył dopiero z dalekiej drogi. Powiedziano mu, że pan burgemeister jest na ratuszu, pobiegł więc tam bezwłocznie, każąc Zyfrydusowi oznajmić swe przybycie.

Wprowadzony do sali radnej, już widokiem swoim uprzedził wszystkich, że złe wieści przynosi; zaraz też nie pytany, tak mówić zaczął:

— Dobrze było, że obróciłem moją drogę na Magdeburg, bo dalej nie było po co jechać. Niemcy już byli zebrani w tem mieście i nie tylko oni, ale poschodziły się tam różne narody: Frankowie, Turyngowie, Włosi, Czesi, Boje, Morawianie, aż się tam roi od knechtów, rycerzy, kopijników i łuczników.

Dzięki znajomości ich gwary, weisnałem się do miasta, a mając tam kilku kupców znajomych z poprzednich podróży, dowiadywałem się. Powoli, przy piwie wygadali się, że jest tam i sam cesarz Henryk V w otoczeniu herzogów, margrafów, landgrafów, burgrafów, ritterów i że wielki najazd gotuje się na Słowian. Liczyli, że zebrało się do 40 tysięcy Niemców i że zamierzają w perzynę obrócić Bytom, Głogów i Wrocław, aby otworzyć sobie drogę do podboju całej Słowiańszczyzny; a chcą wyciąć wszystko w pień i zrabować. Za nimi mają ciągnąć zaraz osadnicy od Renu, aby zajmować i zasiedlać naszą ziemię. W ciągu kilkunastu dni, jakie tam przebyłem, przypatrzyłem się dobrze wszystkiemu. Gdzie nam równać się z nimi uzbrojeniem! konne oddziały mają tak w żelazo zakute, że oczu im nawet nie widać, tak jeżdżcom jak i koniom.

Takiego zakutego rozbójnika nawet i strzała się nie chwyci; na niego potrzeba kamienia, wyrzuconego z balisty lub z beltu żelaznego albo z kuszy, aby go zgruchotał i te zbroje przewiercił.

Śmieją się zawczasu, że nas, pół nagich, będą nadziewać na dzidy, jak na rożny.

Pozostałem tam do chwili, aż zaczęli już wołać «vorwärts,» (naprzód!) i ruszać w pochód ku Bytomowi; wtedy dopiero wysforowałem się naprzód i pędzę już na złamanie karku, aby wam powiedzieć, panowie Rada, że niedługo będziemy ich mieć tutaj, jeżeli nie zatrzymają się dłużej pod Bytomiem.

Skończywszy tę relacyę, odpiął trzos i wysypał pozostałe mu z kopy pieniądze, ale prosił go, aby je zatrzymał za swoje trudy. W dodatku Lorentz podziękował mu.

Rozeszli się też zaraz wszyscy, aby dopilnować ostatnich przygotowań, tak jak gospodarz, który przed ostatnią chwilą przybycia gości, rzuca okiem na stół zastawiony.

Na drugi dzień przybył mieszkaniec Bytomia.

— Niemcy przed paru dniami uderzyli na nasze miasto — mówił — aleśmy się oparli, wytrzymawszy szturm zaciekle. Widać, że im śpieszno iść dalej, bo zostawili nas w spokoju, choć nie zupełnym; część ich knechtów oblega nas, główne zaś wojsko poszło w tym kierunku, zapewne na was. Przeprowadziłem się przez Odrę i lewym brzegiem pędzę, aby was, bracia, ostrzedz. My obrońmy się jakoś, bo otaczają nas moczary i mamy mury, baszty i wieże silniejsze i wyższe od waszych. Ale wy co zrobicie?

Z Niemcami jest Zbigniew Płocki, najstarszy syn króla Hermana: on to wzywał nas do poddania się, jako prawy dziedzic, pokrzywdzony przez brata; zapewne i tutaj wystąpi ze swemi pretensjami, ale pokażcie mu figę, tak jak my to zrobiliśmy. On nie jest prawym synem królewskim i ciągle spiskuje przeciw bratu. Ot i teraz naprowadził na kraj Czechów i Niemców.

Widząc, że to już nie przelewki, dowodzący postanowili zrobić próbę gotowości i na rozkaz Lorentza uderzono w dzwony, a po mieście rozległy się trąbki. Nie minęła godzina, a mury pokryły się obrońcami w zupełnem uzbrojeniu. Pano wie Rada z powagą obeszli przybyłych dokoła, zwiastując już pewnośc najazdu niemieckiego i dziękując za gotowość, a zachęcając do mężnej obrony.

Drugą podobną inspekcję odbywały i dziewczuchy miejskie z Klarą na czele.

Kiedy podeszły do stanowiska Stefana, ten oparty na obosiecznym, ciężkim mieczu, junacko śmiał się oczyma ku Klarze.

Ucieszona jego widokiem, a chcąc go ukarać za to spojrzenie jasne, za przeświadczenie o jej miłości, Klara odezwała się:

— Stefanie, a przywiążcież się do tego patyka, co go trzymacie w garści.

— Niech się panna Klara nie troszczy o to; ten patyk zasłoni ją od niemieckiego uścisku, chyba, że panna Klara chce, aby ją Niemiec całował.

— I pocałunku Niemca i twojego, Stefanie, nie chcę zupełnie — odpowiedziała mu niby obrażona — widzisz go! jemu o całowaniu gadać! Wygląda w tym kapturze na głowie, jak straszidło — mówiła, ale jej oczy śmiały się do urodziwego chłopaka, chociaż rzeczywiście wyglądał cudacko, bo różne części zbroi nie pasowały jedna do drugiej; widać było, że są rozmaita zbieżnością.

Po Klarze odezwała się Hedwiga:

— Kafko! wrona leci, zamknijże gębę, bo ci wpadnie do gardła.

Słowa te pobudziły do szalonego śmiechu wszystkie dziewczuchy, a Kafka spuścił oczy ku ziemi.

Rzeczywiście nieruchawe było to chłopisko. Tylko kamienicy ojcowskiej zawdzięczał jaki taki mir pomiędzy towarzyszami, stawiając gęsto szklance piwa; a że Hedwiga była córką ubogich rodziców, dlatego też nie odtrącała go od siebie, wiedziała bowiem, że dobrym był synem i czuła, że dobrym mężem będzie. Pomimo to, jako młoda, żartowała sobie dalej:

— Gdy Kafce wrona wleci do gardła, to niech ją Kafka upoluje, a ja oskubię i upiekę.

Kafka wziął na rezon:

— A to dobrze, ale pod tym warunkiem, że Hedwiga na placu ją upiecze.

— Cóż to? Chcesz, aby mi się palice spaliły? — to nie miałbyś co całować.

— To zostanie jeszcze ręka. Pytanie jeszcze, czy będę chciał ją pocałować?

Agata przysunęła się znów do Zyblera i kładąc mu krzyżyk na szyję, po cichu prosiła, aby był baczny na siebie.

— Ty wiesz, że mam ciebie tylko jednego, bracie mój, i gdybyś zginął, to ktoby zaopiekował się sierotą, skoro nam ojcowie pomarli?

Tego rodzaju gawędki toczyły się wśród murów Głogowy, a wesoły ich nastrój świadczył, że Niemcy nie łatwo ją opanują; ciągle też słychać było okrzyki: Nie damy Głogowy! Nie damy się!

Widząc taki duch dobry, Lorentz zapewniał wszystkich, że będzie zawsze i wszędzie z nimi. Uspokojony powrócił do domu.

Czwartego dnia chmury pyłu od strony północnej zwiastowały nadciągających Niemców. Jak oko zajrzało, szły oddziały za oddziałami, pułki za pułkami, nad nimi powiewał las proporców i różnobarwnych chorągwi, a dalej nieprzejrzalne szeregi wozów.

Z przedniej straży odłamało się zaraz kilku-
nastu jeźdźców, zakutych w zbroje, i podjechaw-
szy ku bramie, trąbką dali sygnał, że chcą mó-
wić. Nad bramą otworzyło się okienko i wyjrzał
z niego Herman, za którym stał Lorentz.

— Kto jesteście i czego chcecie? — odezwał
się pierwszy.

Na te słowa podjechał jeden z rycerzy w to-
warzystwie herolda, ubranego w rodzaj dalmaty-
ki z cesarskimi orłami, wyszytymi z przodu
i z tyłu, i na znak dany mu przez rycerza du-
mnie wyrzekł te słowa:

— My Henryk V, z Bożej Łaski Cesarz Rzym-
ski, Król Węgierski, Czeski, Kroacki, wzywamy
miasto Głogowę do otwarcia bram na mocy praw
naszego zwierzchnictwa nad temi ziemiami.

Po słowach herolda odezwał się rycerz:

— Pan mój, Henryk V, oświadcza przez
usta moje, margrabiego Miśni Detrycha I, że nie
żywi nieprzyjaźni do sławetnych mieszkańców
miasta, ale idzie na wojnę z wojskami swojemi
na wasala swego, Bolesława, mianującego się kró-
lem Lechitów, w obronie praw starszego brata
jego, Zbigniewa. Dalej, celem odebrania zaległe-
go haraczu z tych ziem, podległych cesarzowi
rzymskiemu, zamierza wypocząć w murach Gło-
gowy, i mnie polecił, oprócz urzędowego wezwa-
nia, wypowiedzianego dopiero co przez cesarskie-
go herolda, zapytać, dlaczego brama miasta jest
zawarta przed nim?

— Dlatego, odpowiedział Herman, że nie zna-
my inszego pana, jak tylko króla Polski, Bole-
sława III i jako jego poddani, nie uznajemy ża-
dnych wrzekomych praw Cesarzów Rzymskich;
powtórę wiemy dobrze, co to jest przyjaźń nie-
miecka dla Słowian; po trzecie burmistrzowi, ra-
dzie miejskiej i mieszkańcom Głogowy, nie podo-

ba się wpuszczać do miasta pierwszego lepszego przybłądy. Z tych więc powodów wracaj, Margrabio, do swego pana i powtórz mu te słowa; dodaj zarazem, że tylko siłą może wejść do Głogowy.

— Do stu tysięcy piorunów! — zaklął Niemiec. Kamień na kamieniu nie zostanie z waszego kurnika! rozwalim go, jak mi Bóg miły!

I spiąwszy konia ostrogami, pomknął szybko ku swoim.

W parę godzin potem, pola, otaczające Głogowę, pokryły się tysiącami namiotów; na wzgórzu odróżniał się od wszystkich namiot cesarski z czerwonego sukna. Rozpalono ogniska, przy których zaczęto gotować strawę. Gwar cudzoziemskiej mowy, rżenie koni, ryk bydła i hasła dawane bawolemi rogami zakłóciły ciszę, jaka zwykle otaczała Głogowę.

Niemieckie hufce ustawiły się w następującym porządku: w pierwszej linii stanęli łucznicy, przeważnie Szwajcarzy, na prawem skrzydle Frankoni, dowodzeni przez księcia na Münsterburgu, Turyngowie pod wodzą margrabiego Ludwika; na lewem skrzydle Morawianie i Czesi pod Światopługiem, z którym dzielił namiot Zbigniew Płocki. W środku po za łucznikami stanęli Sasi, Boje, Włosi i przyboczny hufiec Henryka V, otaczając ów czerwony namiot cesarski.

Prawie wszystkie ludy zachodniej Europy wysłały swych przedstawicieli, aby patrzyli na zagładę Słowian, tak, że można byłoby powiedzieć: Biedna ty jesteś słowiańska ziemia! Od zachodu grożą ci Germany, od wschodu urywają cię Tatarzy, wszyscy niosąc mord i pożogę.

Zaledwie ustawiono namiot cesarski, i Henryk V zsiadł przed nim z konia, nadjechał Dietrich i zdał mu sprawę z danego polecenia, aby wezwał Głogowę do otwarcia bram. Cesarz dłu-

go rozczesywał palcami swoją brodę i dopiero po chwili odpowiedział:

— Dziękujemy wam, margrabio. Opór Głogowy, tak jak Beutenu (Bytomiu), krzyżuje nam cokolwiek plany szybkiego pochodu; jutro odbędzie się rada, na którą i was zapraszamy.

Skloniwszy głowę na znak pożegnania, zniknął w głębi namiotu.

VI. NARADA W OBOZIE.

Głogowa zdawała się być wyludnioną, taka panowała tam cisza; oprócz wart po tynach i murach, nikogo widać nie było, ale za to na rynku miejskim wrzała czynność w ciechości.

Polecenia, rozkazy, podawane głosem stłumionym, krzyżowały się: łucznicy odbierali zapasowe cięciwy, topornicy wyostrzone topory, dowożono jeszcze kamienie na mury, przygotowywano kłody i belki, aby je mieć pod ręką, napełniano kotły smołą i wodą. Zapadająca noc położyła dopiero kres tej gorączkowej działalności.

Na jednym z rogów rynku widzimy gromadkę naszych dziewczuch, wesoło rozmawiających z młodymi mieszczanami, z których jedni ubrani byli w napierśniki żelazne, bez hełmu i nagolenników, drudzy mieli hełmy bez pancerzy, inni osłony z grubej skóry.

W gromadzie tej spotykamy znajome nasze: Klarę, Agatę, Stefana, Zyblera i Kafkę. Klara i Stefan, zapatrzeni w siebie, zdawali nic nie wiedzieć o świecie.

— Ukochana moja — mówił młodzieniec — jutro czeka mnie bój; może nie powrócę z niego, czy nie uczynisz zadość mej prośbie?

— A czegoż ty chcesz, Stefanie? odpowiedziała Klara, jakby nie wiedząc o niczem.

— Czyż mam ci jeszcze raz mówić, że chcę twojego uścisku — szeptał Stefan namiętnie.

— Ho, ho! czego to ci się zachciewa? Za mój uścisk i pocałunek trzeba drogo zapłacić.

— Zapłacić! — westchnął Stefan — kiedy ja biedny i nie mam grzywny srebra.

— A któż ci powiedział, że ja żądam zapłaty pieniędzmi?

— Więc czemuż, ukochana moja? powiedział Stefan weselej.

— Przynieś mi za mój pocałunek dziesięć łbów niemieckich — wyrzekła dziewczyna.

— Ej, to mała rzecz, będziesz je miała; mój patyk ich dostarczy. Ale teraz daj zadatek na obstalunek; klnę się na św. Wojciecha, że przyniosę tobie łby, ale nie bez zadatku.

— Czy ci się w głowie przewróciło, Stefanie, abym ja tu przy wszystkich ciebie całowała! Widzisz go, jaki głupi...

— Więc gdzież mam przyjść po zadatek? — Aha! już wiem, pod twoje okienko; przyjdę, Klaro, nikt mnie nie zobaczy, ale pamiętaj, zadatek dać musisz.

— Dobrze, dobrze, to zobaczę dopiero; namyśle się jeszcze, może za mało żądałam.

Z tem usunęła się dziewczyna w środek innej gromadki, która również w podobny sposób rozmawiała z młodymi obrońcami Głogowy.

Stefan rozjaśnił czoło:

— Harda dziewczyna! — mruknął — ale co tam! czuję, że już jest moja.

Na drugi dzień przed południem kilkunastu giermków cesarskich rozbiegło się po obozie, niosąc rozkazy i wezwania na naradę cesarską, a po upływie jakiegoś czasu kilkunastu rycerzy bez zbroi, poubieranych w kaftany szyte w różnokolorowe pasy, z bufiastemi rękawami, z krzy-

żami na szyi, w obcisłem dolnem ubraniu, w trzewikach z zadartemi nosami i krótkich płaszczkach narzuconych na ramiona—coś w rodzaju pelerynek—i w beretach okrągłych na głowie z piórami strusi, bażantów i kogutów, z rapirami lub sztyletami u boku, wchodziło po kolei do namiotu cesarza Henryka.

Przy podłużnym stole, pokrytym czerwonym suknem, siedział na pierwszem miejscu cesarz w krótkiej ciemnej sukni, w łańcuchu złotym na szyi. Na stole przed nim leżał miecz, którego pochwa i rękojeść osypane były drogiemi kamieniami. Obok niego po prawej stronie siedział Światopłóg Czeski, a z lewej Zbigniew Płocki, który wygnany przez Bolesława z kraju za ciągle bunty i intrygi, uciekł do Pragi. Tam podmówił najprzód Światopłoga, a z nim dopiero Henryka, do tej wojny i napadu na ziemie polskie, tłómacząc im, że Polacy, niezadowoleni z rządów Bolesława, łatwo się poddadzą, a on panować będzie nad niemi z ramienia cesarza i chętnie płacić będzie haracz, jaki Henryk nałoży na ziemie słowiańskie.

Cesarz witał wchodzących, skinieniem głowy, ręką wskazując miejsca, jakie zająć mieli.

Gdy już wszyscy zasiedli, zabrał głos w te słowa:

— Zwołałem was, dostojni panowie na naradę. Co robić? Przekłeta Głogowa zamknęła swe bramy i myśli stawiać nam opór; chciałbym, abyśmy radzili nad tem, czy zdobywać ją mamy szturmem, czy oblężeniem i ogłodzeniem, czy też zostawić za sobą i iść w głąb kraju?

Król Polski, Bolesław, jest obecnie na Pomorzu, więc o ile się zdaje, nikt nam nie stawi czoła.

— Radzę iść najprzód, odezwał się margra-

bia Brandeburski i zostawić ten kurnik; takie burgi nie są straszne: garść mieszczan i nic więcej.

— Iść naprzód to łatwo, powiedział Ludwik Turyngski, ale czy wracać łatwo wojsku znużonemu pochodami i bojem, gdy takie kurniki zagrodzą nam powrót przez Odrę?

— Naprzód, tylko naprzód! zakrzyknął Otto na Morawie.

— A któż nam zaręczy — powiedział margraf Istrii, Henryk — że gdy pójdziemy w głąb kraju, nie stanie nam na tyłach ten piekielnik Bolesław i oparty o Głogowę i Wrocław, nie dopuści powrotnej przeprawy przez Odrę? Nie! Głogowy lekceważyć nie można, nie zdobyliśmy i Beutenu, trzeba więc ją zdobyć siłą, przekupstwem, podstępem, jak się da, a potem zburzyć, żeby kamień na kamieniu nie został. Jeżeli nie podbijemy teraz Szlązka, to zburzeniem Głogowy wyrwiemy przynajmniej ząb z paszczy Bolesława. Dziś Głogowę, jutro Wrocław i tak dalej i dalej.

Świat przyznaje nam wytrwałość, a cel nasz wytknięty: śmierć tym Słowianom, tym Sklawom (niewolnikom)! Głosuję za zdobyciem Głogowy!

Reszta zebranych dała rozdzielone głosy, jedni byli za, drudzy przeciw.

Wysłuchawszy tego, Henryk odezwał się:

— Widzę, że jest więcej głosów za zdobyciem Głogowy, więc i ja mój do nich dołączam. Będziemy próbować szturmów, a gdyby te zawiodły nasze oczekiwania, czego zupełnie nie biorę w rachunek, to głodem zmusimy opornych do szanowania i słuchania władzy cesarskiej. Książę na Münsterbergu, jako nasz feldzugmeister (hetman), wyda wam, dostojni panowie, rozkazy i rozporządzenie do szturmów, oraz instrukcję, w jaki sposób przeprowadzić go należy. Żegnam

was, zobaczymy się pod murami; a wy, mości książę Henryku Lwie Saski, zechciejcie jeszcze chwilę pozostać z nami.

Po tych słowach zebrani opuścili namiot cesarski.

VII. SZTURM.

W godzinę później z namiotu Münsterberga rozbiegli się znów giermkowie, niosąc rozkazy do pojedynczych oddziałów. Wkrótce trąbki dały hasło do napadu.

Łucznicy szwajcarscy pierwsi go rozpoczęli, podsunawszy się pod mury i zasypując je bełtami.

Z po za łuczników wystąpiły oddziały fusknechtów, niosąc faszynę i drabiny, za niemi Czesi, Morawianie i Boje pod dowództwem Pecota Castellovitza. Potem dopiero wyruszyć miały oddziały Sasów i Frakonów z toporami i mieczami.

Z murów spadł grad strzał i kamieni na fusknechtów, zawałających fosy faszyną, a chociaż szeregi ich zrzedniały, szły rotty czeskie i morawskie, przystawiając drabiny i zaczawszy wdierać się na nie.

Z murów zrzucano belki ponabijane kołkami, kamienie, wodę i smołę, które miażdżyły ciała, zalewały oczy wrzaskiem i płomieniem.

Na jednym z narożników, Sobiejucha, z toporem wziętym z kaźni magistrackiej, mając przy sobie Krupa, Zinlausa, Budiwoja i Koczora, strącał łby niemieckie, darząc ich niepochlebnemi epitetami przed śmiercią i zadawał takie razy, że coraz łeb rozplątany znikał za murem.

— Budziwoju, a dajże tam temu z czerwonym włosem poczęstunek dobry i włóż mu w tę gębę szeroką, końcem swojej dzidy szperkę! Jednocześnie dzida, tonąc w paszczęce Niemca, zrzucała go z drabiny.

Widząc to, Koczor pozazdrościł Budziwojowi podobnego uderzenia i tak się zamachnął na trzeciego, że straciwszy równowagę, o mało nie zleciał z muru. Przytrzymali go dopiero za kubrak Zinlaus i Krupa.

— Oj! Koczorze, Koczorze — powiedział Krupa — a to wam tak śpieszno do Niemców! Poczekajta jeszcze trochę; a za to, żeśmy was nie puścili, musicie postawić wieczorem kwartę miodu u Gotliba.

— Pewnikiem, dziękuję wam bracia, od częstunku nie wymawiam się; daj Boże tylko doczekać wieczora, bo kręto zaczyna być koło nas; dziesięciu zepchniesz, a jedenasty lezie.

Kafka, któremu już strzał nie dawano, bo je puszczał napróżno i bez skutku, wziął się do garnków ze smołą i z wybuchami śmiechu lał płonąca smołę na karki niemieckie, gdy Niemcy z wyciem od bólu tarzali się u stóp muru, aby w ziemi i piasku ugasić płomienie, które palące kubraki, wżerały się w ciało. W innem miejscu, olbrzymiej siły chłopisko, gdy zobaczył jak kilku knechtów wdzierało się na mury, chwycił za drąg jesionowy, jaki miał przygotowany na boku i walił nim jak cepem, jeżeli odrazu dusz nie wymłócił, to z poprzetrącanemi kośćmi spychał z góry jak snopy.

Lorentz był prawie wszędzie, dwoił i troił się niemal. Nie będąc z powołania wojakiem, czuł jednak, że obecność jego, jako naczelnika miasta, jest wszędzie potrzebna; podnosił więc obecnością swoją ducha i wlewał nowe siły w walczących. Miał wprawdzie wstręt do przelewania krwi, ale wiedział, że przykład dawać musi; to też miecz, który trzymał w ręce, był zbaczony krwią niemiecką, płał już nim bowiem niejednego pludraka dobrze po uchu.

Stefan był w swoim żywiole, dotrzymywał przyrzeczenia danego Klarze i zdołał już odłożyć cztery łby knechtów, z których jeden szczyrzył zęby straszliwie i pozostał z niedomkniętymi usty na wieki.

— To dla Klary — mruczał do siebie, kiedy niemcowi zwałił z karku głowę jednym cięciem obosiecznego miecza — to za Klarę — mówił — gdy rozplątał czaszkę, lub odwalił rękę z ramieniem.

Formalnie szalał w boju, choć w pancerzu jego tkwiło już kilka strzał i gdzieś tam krew się sączyła.

W ten sposób ci, co się wdarli na tyny, padali od toporów i włóczni. Widziano na murach Niemców chwilami tylko, bo później zapadali zaraz jakby podmuchem wichru zmiecen.

Napróżno rycerze w zbroje zakuci dawali przykład, idąc w pierwszych szeregach. Kamienie, wyrzucane z kusz, obalały ich na ziemię, z której rzadko już się podnosili.

Mężny opór Głogowian udaremnił wszelkie wysiłki; belki nabijane kółkami kładły ławą wdzierających się po drabinach i stojących pod samym murem.

Przed samym zachodem słońca trąbki dały hasło odwrotu; Niemcy złorzecząc i przeklinając, odstępowali od murów, unosząc rannych. Głogowa odetchnęła, ale płacz i jęk rozległ się po mieście, duża część obrońców poległa lub raną została.

Walka ta dowiodła, że mury równoważyły przewagę uzbrojenia ze strony Niemców, chociaż strzały łuczników wierciły nawskroś ciała niezasłonięte pancerzami, a tu zaledwie połowa obrońców miała skóry na sobie, reszta zaś tylko jaką taką osłonę.

Burmistrz, który w czasie boju z mieczem

w dłoni obiegał wały, dodając odwagi i zachęty, znowu teraz obchodził wszystkich, dziękując za okazane męstwo i dzielny opór.

Rozkazał nie schodzić z murów, mówiąc, że poleci przynieść pożywienie na miejsce; bał się bowiem, czy Niemcy nie spróbują ataku w nocy, zużywszy teraz zaledwie część sił swoich.

Cesarz nie spodziewał się tego, że będzie musiał odstąpić, zdawało mu się, że wzięcie Głogowy będzie tylko zabawką. Co innego było w Bytomiu: tam były wieże, blanki, a tu tylko niegłębokie fosy, tyny przeważnie, a gdzieniegdzie tylko, co kilkadziesiąt sążni długości, mury z kamienia.

Po naradzie z Münsterbergiem postanowiono przygotować maszyny wojenne, bez których się wybrano, nie rachując na taki opór; a więc kilka wież na kołach, balisty, katapulty wyrzucające bełty okute grubo w żelazo, wielkie kamienie i belki. Taranami miano szturmować do bram.

Na te przygotowania zużyto prawie dziesięć dni czasu, a gdy już wszystko pobudowane zostało, zagrały znów surmy i trąby i znów pięknego poranku pułki fusknechtów zbliżyły się ku murom, tocząc przed sobą maszyny. Cztery zbudowane wieże wysokością swoją przenosiły mury miasta; na wierzchu ustawieni byli łucznicy, w połowie wysokości były opadające pomosty, które zarzucano na mury; po nich wchodzić mieli rycerze w zbroje zakuci, z mieczami i puklerzami do wycinania w pień obrońców.

Lorentzowi i Kokorzowi pociemniało w oczach, gdy zobaczyli te potwory; zdawało im się, że obrona będzie niemożliwą, bo gdy z nich wysypią się te żelazne postacie, to walka ręczna nieosłoniętych niezem mieszkańców musi zakończyć się klęską.

Przybiegł do nich Stefan, który już od niejakiego czasu przyglądał się bacznie machinom.

— Panie burgemeister, panie radny, od nich jedna tylko obrona—ogień; jeżeli potrafimy i zdołamy ich zapalić, to ocalejemy, inaczej zginąć musimy.

— Dobrze mówisz, że ogień, ale jakże tutaj wyjść za mury, aby podpalić te smoki? — powiedział Lorentz.

— Ja powiem to Rudziwojowi—odezwał się Kokorz—to zmyślny chłop, przyrzeknę mu jeszcze nagrodę, to może spuści się z murów i podpali to.

Na to uśmiechnął się Stefan:

— Łatwo to powiedzieć, ale wykonać trudno. Czy to radny myśli, że mu pozwolą zbliżyć się do wież, a łucznicy, stojący na dachu, to przypatrywać się tylko będą? — Pozwólcie wziąć kilka kusz i kaźcie przygotować mocne, duże garnki ze smołą, spróbuję rzucić je zapalone na te potwory; choćby tylko w jednym miejscu chwycił się ich ogień, to strawi już tych djabłów niemieckich, bo jak widać, obite są tylko sosnowemi deskami.

Rada to była dobra. Nie zważając na grad strzał, lecących z góry tej wieży, która najpierw zbliżała się ku murom, obrońcy zdołali cisnąć kilka garnków z płonąca smołą; rozbiły się one o ściany i te zaraz stanęły w ogniu. Trzeba było widzieć i słyszeć popłoch zamkniętych w środku, ciężko uzbrojonych Niemców; ryczeli jak woły na rzeź prowadzone, zanim zdążyli wyjść już prawie ze środka ognia. Łucznicy zeskakiwali z góry, rozbijali się u dołu, albo w powietrzu ginęli od strzał puszcanych z murów. Podobny los spotkał dwie drugie takie wieże; czwarta, z powodu jam i dołów, nie mogła być podtoczoną pod mury.

Głogowianom urosły serca, ponieważ walka z wdzierającymi się po węglach i drabinach na mury niemcami, toczyła się już z ich korzyścią. Okrzyki: a dobrze wam?—a co?—a ciepło wam? dodawały animuszu.

Był to jeden z epizodów boju, który na całej rozciągłości murów toczył się zwykłą w takich rzeczach koleją. Niemcy prawie wszystkie oddziały wysłali do szturm, lecz napór po spaleniu wież, na które widocznie rachowano, słabł coraz więcej... Morawianie i Czesi, rozumiejąc dobrze pobratymczy język, wyrzucający im zdradę słowiańskiej jedności, już nie z takim zapałem leżeli do środka; z nimi to właśnie Głogowianie walczyli z większą zaciętością, aniżeli z samymi niemcami. Strzały na nich były kierowane staranniej; zdawało się, że i cięcia toporów i mieczów z większą zadawane były siłą.

Bój rano rozpoczęty trwał już dobrze z południa i niemiecka stopa, choć się wdarała, na murach długo się nie zatrzymywała. Niemcy odciągali już napowrót szkielety wież, gdyż wiązania z grubych belek zostały ocalone.

Wtem od bramy, wychodzącej nad rzekę, nadbiegł do Lorentza setnik Godfryd, wołając: Na pomoc! na pomoc! od rzeki!

Korzystając z odwróconej uwagi w tę stronę, niemcy podciągnęli taran, rozbili bramę i wdarli się do miasta.

Lorentz ze Stefanem, wzięwszy z sobą hufiec odwodowy, który na rynku stał gotowy na przypadek wdarcia się Niemców, pobiegli z nim, o ile sił starczyło w nogach. Czas też był wielki. Boje, w liczbie kilkuset, wdarli się już przez rozbity taran, za nimi tłoczyli się rittery z okrzykiem: Gott mit uns! (Bóg z nami), ale świeży oddział Lorentza, uzbrojony prawie najlepiej, uderzył również jak taran o pierś niemiecką. Z okrzy-

kiem «śmierć niemcom!» zajęczały puklerze pod uderzeniami polskich toporów, zakłębiło się jak w garnku i po niedługiej walce wyrzucono Niemców przez tę samą bramę, którą wleźli, zasławszy miejsce boju trupami i rannymi.

Wezwani cieśle rozbitą bramę zastąpili belkami i pniami drzew zawczasu przygotowanymi, potem mularze dziury założyli cegłą, zarzucili wapnem i gliną, i w dwie prawie godziny nie zostało i śladu niemieckiej napaści, tylko trupy kilkudziesięciu napastników i ranni, zabrani do miejskiego szpitala, świadczyli, że niebezpieczna walka toczyła się dopiero co w tem miejscu.

Wieczór nadchodził i Głogowa znów ocalała, bo trąby niemieckie dały znak odwrotu. Najezdnicze zastępy cofały się do obozu, podobne do ustępującego morza w chwili odpływu.

Głogowianie, gdzie który stał na murach, posiadali lub pokładli się, opatrując lżejsze skaleczenia, gdyż ciężiej rannych w czasie walki zabierano do szpitala. Ci, co chodzić mogli, poszli sami, innych zaniesiono.

Teraz trzeba było uprzątnąć zabitych, a i tych liczba była spora.

Radni miasta zabraniali głośnych objawów rozpacz i żalu pozostałych matek i wdów, aby nie usłyszano ich w obozie niemieckim.

We łzach i modlitwie spędzono tę noc; obrońcy murów zasnęli na nich snem kamiennym, wiedząc, że tylko wypoczynek przywróci siłę zmęczonemu muskułom, omdlałym od rozdawania cięć, naciągania kuszy i łuków.

Warty tylko jedne drugim podawały przeciągłe «czuwaj!»

Zebrana rada miejska dziękowała Stefanowi za jego pomysł spalenia wież, on zaś przyjmował skromnie te oznaki i czekał chwili, kiedy bę-

dzie mógł iść odebrać inne podziękowanie—od ukochanej Klary. O miłości jej już nie wątpił, gdyż sława jego czynu rozbiegła się po całym mieście.

Czuł, że to usposobiło dla niego bardzo dobrze i Lorentza, westchnął więc tylko do Boga, prosząc o również szczęśliwe jutro.

VIII. PRÓBA PRZEKUPSTWA.

W namiocie cesarza Henryka zebrana starszyzna ponuro zasiadła przy stole, na który z jego rozkazu podano kufle z piwem. Z rozmowy zebranych można było wnioskować, iż stracono nadzieję wzięcia szturmem Głogowy. Margrabia brandeburski, zwróciwszy się do cesarza, w te słowa przemówił:

— Miłościwy Panie! twarde czerepy mają te przekłete skławy, namarnowaliśmy sporo knechtów,—kilkudziesięciu ritterów szwabskich i frankońskich położyło swe głowy, a ile jeszcze padnie przy nowych szturmach! Skoro tam wleźć nie można, trzeba zatem szukać innego fortelu. Trzeba przekupić tego djabła burgemeistra; on, zdaje się, pochodzi z naszych, jak to nazwisko wskazuje, a więc i na nasze pieniądze obojętnym nie będzie.

Myśl ta podobała się nawet skąpemu Henrykowi; wiedział zresztą, że te pieniądze będą tak jak pożyczone, że wycisnie je ze zdobytego grodu, a gdyby udało się przekupić burmistrza i radnych miasta, któż mu każe później dotrzymać warunków zrobionej umowy?

Postanowiono więc spróbować tego środka i sprowadzić do obozu nawet biskupa Ottona z Bambergu, aby wpłynął na proboszcza Niko-lausa, a przez niego na mieszczan, do zgodnego poddania się miasta.

Cesarz śpieszył się i przede wszystkim chciał

zyskać na czasie, korzystając z bytności Bolesława na Pomorzu i nie wiedząc, że ten był już zaświadomiony o jego najściu na kraj. Doradca jego, Genne, bez którego nic nie czynił, pochwalił ten zamiar.

Wysłano natychmiast zaproszenie do biskupa, aby przybył do obozu, nastawając na szybki przyjazd.

Następne dni schodziły tylko na lekkich utarczkach pod murami; to jakaś kupa knechtów podpadła pod wały, to jakiś rycerz na koniu podjeżdżał bliżej, rozpatrywał, rzucił bełt z kuszy i odjechał z powrotem.

Z obozu Niemców rozbrzmiewały echa pieśni nuconych po pijanemu, lub jęk boleści okolicznego ludu, trzymanego w pętach, albo krzyk niewieści, w nocy wyrywający się z namiotu rittera.

Posłano parlamentarza, prosząc o pozwolenie zebrania trupów z pod samych wałów. Z tego radzi byli i Głogowianie, bo niemieckie ciała nie pogrzebane już na dobre cuchnąć zaczęły i była przedewszystkiem obawa zarazy. W ten sposób ubiegło znów dni dziesięć na patrzeniu sobie w oczy i na przesyłaniu przekleństw w różnych narzeczach.

Jednego dnia podjechało pod mury kilku rycerzy z białą chorągwią i na zapytanie, czego by chcieli, Herman usłyszał żądanie, że biskup z Bambergą życzy sobie rozmowy z Nikolausem.

Herman odpowiedział, że naradzą się nad tem i jutro dadzą odpowiedź. Zwołano więc radę, na której debatowano, co może chcieć biskup.

Lorentz domyślił się, że biskup jako zwierzchnik kościoła, chociaż nie mający pod swoją władzą Głogowy, bo ta należała do biskupstwa wrocławskiego, będzie próbował namawiać przez miej-

scowego proboszcza do poddania się w imię religji i dla powstrzymania rozlewu krwi chrześcijańskiej. Ale ponieważ domysły nie prowadziły do niczego, a nie widziano znów nic tak groźnego w widzeniu się Nikolausa z biskupem, postanowiono się zgodzić, zażądawszy zakładnika, bo w każdym razie ksiądz potrzebny był miastu.

Na drugi dzień oznajmiono o tem Nikolausowi, a ten ochotnie się wybrał. Spuszczono go więc z murów, a wciągniono zato rycerza von Schurgast, który przybył po księdza i zgodził się być zakładnikiem.

Zawiązano mu oczy i zaprowadzono na ratusz, gdzie przyjęto go jadłem i napitkiem, grzecznie, choć zimno.

W rozmowie z Hermanem, Schurgast przytoczył znane nam już niby—powody napaści Henryka.

Herman odpowiedział temi samemi słowy, co heroldowi cesarza przy wezwaniu o poddanie się, i dodał:

— My bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi. Nadłamaliście sobie już zębów pod Bytomiem, łamiecie je i tutaj na próżno; pytanie, czy wam starczy ich na Wrocław? Próbuje zresztą, ale mnie się zdaje, że nad Odrą położycie swoje kości.

Schurgast chmurzył czoło, a widząc, że i językiem nie przemoże prawdy, zamilkł i rzucił się na słomę posłaną w rogu izby, gdzie zasnął.

Herman wyszedł, postawiwszy straż przy drzwiach.

Na drugi dzień powrócił Nikolaus, a Schurgast opuścił miasto.

Proboszcz publicznie oświadczył, że biskup Otto chce pośredniczyć pomiędzy cesarzem a mia-

stem, aby uniknąć przelewu krwi chrześcijańskiej i będzie się starał wymódl na cesarzu jak najłagodniejsze warunki dla miasta. Lorentzowi zaś szepnął, że ma z nim pomówić sekretnie.

Późno wieczorem burmistrz powrócił z obejścia wałów do domu i miał się już ku spoczynkowi, gdy cichaczem wśliznął się Nikolaus, który chyłkiem pod ścianami domów przebył odległość z plebanji do domu Lorentza.

Położywszy palec na ustach, proboszcz wskazał ostatnią izbę, gdzie się obadwaj zamknęli:

— Muszę wam powiedzieć, panie Lorentz, po co mnie wzywał biskup, którego zastałem w namiocie cesarza. Otóż chce on uniknąć dalszego rozlewu krwi i cesarz ofiaruje wam za poddanie miasta 500 kóp groszy, dodając, że miasto zdobyć musi, tak jak Bytom, który się już podobno poddał. Mówił, że od tego nie odstąpi i weźmie nas siłą lub głodem. Zapytywał, na co rachujemy, gdyż nadzieja odsieczy jest niemożliwą, bo król daleko zapuścił się na Pomorze. Dalej zaprzysiągł, że po zdobyciu miasta nie zostawi kamienia na kamieniu i wytnie nas w pień, co do nogi. Potem odezwał się biskup, że przysięga obowiązuje tylko do pewnych granic, że odrzucać pokój jest to odrzucać wiarę Chrystusa Pana, która mówi przez jego usta: Błogosławieni pokój czyniący,—i że on, jako zwierzchnik duchowny, zaleca i rozkazuje przerwanie dalszej wojny, podjętej słusznie przez cesarza, bo cała wina jest po stronie Bolesława. Oponować takim dostojnikom nie mogłem i musiałem dać słowo, że będę was namawiał do poddania się. Pięćset kóp są nie do pogardzenia, a pomyśleć, że nas wezmą szturmem lub głodem, wymordują i zniszczą, to skóra cierpie na człowieku.

Lorentz słuchał, nie przemówiwszy słowa, dopiero gdy Nikolaus skończył, odezwał się:

— A gdzież jest pewność, że cesarz dotrzyma nam warunków umowy?

— O! jeżeli o to chodzi, to możemy się zabezpieczyć przysięgą cesarza lub biskupa i wymagać zakładników.

Burmistrz zrozumiał, że proboszcz w ten sposób wytłómaczył sobie, że i sama religja na tem nie nie ucierpi, gdy przejdą pod panowanie cesarza, czy też legną w boju; ukrył to jednak w duszy, jak również i oburzenie, jakim przejęły go słowa Nikolausa. Postanowił jednak sobie pomówić o tem wszystkiem na radzie, a teraz przyjąć pozornie usługi księdza, ażeby mieć kogoś do porozumiewania się z wrogiem, gdyby zaszła tego potrzeba. Podziękował więc Nikolausowi, powiedział, że musi się namyśleć i da mu odpowiedź później. Ksiądz cichaczem znowu wymknął się na probostwo.

Przeznaczone jednak było Lorentzowi nie spać tej nocy, bo zaledwie spoczął, obudziło go pukanie do okna.

Był to Stefan, który przybiegł powiedzieć, że jakieś łodzie podpływają pod mury.

Ubrał się więc znowu i pobiegli obaj na tyny od strony rzeki.

Po rozpatrzeniu się w ciemności zauważono, że podpływające łodzie napelnione były zbrojnymi w liczbie przeszło 100 ludzi.

Domyślili się, że niemcy, zauważywszy, że ta część tynów, jako broniona przez rzekę, nie jest tak pilnie strzeżoną, znowu próbują wzięcia znie-nacka miasta. I kto wie, gdyby nie czujność Stefana, czy nie udałoby im się tym razem, bo burmistrz zastał strażę śpiącą.

Posłano zaraz po rezerwę na rynek, a gdy ta nadbiegła i przyjściem swoim narobiła hałasu, łodzie przepłynęły dalej z biegiem wody, nie przystając do brzegów.

Lorentz dziękował Stefanowi, zapytując go, jakim wypadkiem spostrzegł zamiary Niemców.

— Nie mogłem spać z powodu gorąca i wyszedłem, jakimś przeczuciem wiedziony, na wały; — ale nie przyznał się do tego, że wracał z pod okienka Klary, z którą długo rozmawiał, a później wyszedł podumać o swojej ukochanej.

Wrócili obadwaj już nad ranem, zostawiając licniejszą straż na tynach.

Przed południem Lorentz zwołał radę i tak ją zagaił:

— Zwołałem was, kamraci, aby wam powiedzieć, co słyszałem od proboszcza; miał rację kolega Herman, mówiąc nam przed paru tygodniami, że on sprzyja Niemcom więcej, niż nam. Otóż za pośrednictwem jego, cesarz Henryk ofiaruje mi 500 kóp groszy pragskich, abym otworzył im bramy Głogowy.

Oburzyli się wszyscy, zapytując prawie jednogłośnie:

— A ty, Lorentzu, przyjmiesz to?

— Gdybym był skłonny do takiego czynu, nie mówiłbym wam teraz o tem.

Na to Herman, przerywając Lorentzowi, odezwał się:

— Więc nie myliło mnie moje przeczucie! Obaj nosimy z wami, panie burgemeistrze, nie sławiańskie nazwiska, ale obaj, tak jak rodzice nasi, urodziliśmy się na tej ziemi, przyjęli jej obyczaj, przyswoili sobie mowę; jesteśmy zatem tutejsi. Nikolaus nie urodził się tutaj, on Niemiec rodem i ciągnie do nich. Zaś u księży Rzymu narodowość stoi na drugim planie, a na pierwszym wiara. Mają oni w tem trochę racji, bo na tamtym świecie, zdaje się, że narodów nie będzie, tylko wyznawcy Chrystusa, bo ma być: «jeden Pasterz i jedna owczarnia.» Nam daleko do do-

skonałości Bożej; jako ludzie, patrzymy na sprawy po ludzku, a jako Słowianie, musim patrzeć po słowiańsku i wierzajcie mnie, że później narodzi się takie przysłowie, że dopóki świat światem, nie będzie niemiec Polakowi bratem. Więc, wracając się do naszego proboszcza, wiele darować mu trzeba, bo to sługa kościoła, ale na oku mieć go nie zawadzi.

A Primko dorzucił:

— Cierpliwości, bracia, wytrwania i odwagi! a Bóg ukarze tę szaloną dumę, która wszystko chciałaby przerobić na swoje kopyto. Gdyby to było w woli Bożej, to nie pomieszałby języków przy budowaniu wieży Babel i stąd nie powstałyby narody, a kiedy walczą przeciw tej woli Bożej, to i ukarani będą, bo ten Bóg jest sprawiedliwy.

Wszyscy radni pochwalili zamiar zwodzenia Niemców układami i w ten sposób doczekania się przybycia króla. Przestraszał ich brak żywności, bo szósty tydzień był już na schyłku, a na długo nie rachowano. W myśl więc tego, postanowiono wysłać Nikolausa do obozu z żądaniem przysięgi, a gdy na to Niemcy zgodzą się, można znów później zażądać zakładników.

Następnego dnia doniesiono Lorentzowi, że jakaś choroba pokazała się pomiędzy resztą bydła i kilka sztuk już padło. To strwożyło burmistrza i wysłał zaraz Nikolausa do Niemców, z nim wieść o tem rozniesie się po mieście.

Nikolaus powrócił nazajutrz, przynosząc zgodę cesarza na przysięgę swoją lub biskupa.

Znów zwołano radnych dla pozorów i znów w dwa dni posłano Nikolausa z żądaniem zakładników.

Zwątpienie ogarnęło miasto. Reszta bydła padła od jakiejś niezrozumiałej dla wszystkich choroby, a zboża i maki były już tylko resztki.

IX. ŻĄDANIE DZIECI NA ZAKŁADNIKÓW.

Niemcy zmiarkowali, że miasto próbuje zyskać na czasie, posłali więc herolda z żądaniem natychmiastowego poddania się; w razie przeciwnym zapowiedzieli szturm na jutro.

Przerażenie było ogólne, bo już tylko połowa tych, którzy walczyli z początku, mogła stanąć do obrony; druga połowa byli to ranni lub nieżyjący. Rada postanowiła wysłać Nikolausa, aby wyjednał pięć dni zwłoki.

Ten przyniósł odpowiedź, że cesarz zgadza się na to, ale wprzód mieszczenie muszą dać 40 dzieci swoich w zakład, jeżeli po pięciu dniach nie poddadzą miasta.

Lorentz zdumiał się: sądził, że cesarz będzie żądał jako zakładników kogoś z Rady miejskiej, ze znaczniejszych właścicieli domów w mieście, ale nigdy dzieci! Wiedział, że każdy z dorosłych mężczyzn rozumie konieczność pójścia jako zakładnik, a narażając życie w boju, oswoił się już z myślą śmierci, ale przewidywał całą trudność wymożenia na kobietach, na matkach, aby oddawały na ofiarę odrosłe już pachołeta.

Nie było jednak wyboru; ogłoszono po mieście żądanie cesarza i wezwano rodziców, aby się zgłaszali ci, którzy ofiarują się dać dziecko swoje w zakład.

Nikt się nie zgłosił. Kokorz tylko jeden przyprowadził syna, ośmioletnie dziecko, z pomiędzy czworga, jakie miał — mówiąc, że go losem wybrał.

To dało wzór Radzie miasta i Lorentz zarządził losowanie wszystkich rodzin, aby z nich dobrać brakującą liczbę 39.

Gdy uwiadomiono o tem mieszkańców, tłumy kobiet obległy ratusz, szepcząc pomiędzy sobą lub też złorzeczając burmistrzowi i radnym.

Niedługo potem pokazał się Lorentz z Gotwinem, trzymającym w ręku nazwiska wylosowanych rodzin.

— Gotwinie, przeczytaj wybranych losem — powiedział burmistrz — i Gotwin nałożywszy na nos okulary, z powagą odczytał 39 nazwisk.

Przy każdym z nich wyrwał się jęk matki wywołanej; niewymienione, z okrzykami radości pobiegły do domów. Pozostałe zaś zaczęły szeptać pomiędzy sobą.

Z pomiędzy nich wysunęła się Barbara Domanowa.

— Nie damy naszych dzieciak niemcom, to jest przeciwne Boskim prawom.

Na to odpowiedział Kokorz:

— Widzi Domanowa, że ja, radny miasta, sam oddaję swojego syna; i mnie serce boli i moja żona zalewa się łzami, ale niech Domanowa pamięta, że i Abraham ofiarował Izaaka na ofiarę, bo Bóg tak chciał. Widać że i teraz chce ofiary od Głogowy — niech będzie Jego imię pochwalone!

— Amen — rzekł Lorentz — nie może być inaczej. Przyprawdzajcie swoją dziatwę. Gdybym miał chłopca w wieku żądanym, zobaczylibyście go tutaj, tak jak syna Kokorza.

Przemówienie Lorentza dobrze podziałało na biedne matki; złorzeczenia ucichły, lały się tylko łzy, z którymi poszły do domów po dzieci. W parę godzin potem odprowadzono 40 dzieci do obozu niemców, przy ogólnym płaczu i desperacji matek, z których jedna nawet, Genda W izunowa, ofiarowała się sama iść do niemców, aby mieć opiekę nad dziatwą.

Serca krajały się z bólu mieszkańcom Głogowy, gdy zobaczyli ten szereg swych synów, wychodzących z miasta przez furtkę obok bramy, jakby przeczuwali, że idą na stracenie. Matki mdlały z rozpacz, ojcowie poodwracali głowy i łzy spływały im po licu opalonem, czarnem od kurzu, a nie u jednego i poranionem.

Natłoczeni na murach i wychyleni prawie poza nie, jak w dniu boju, ze smutkiem patrzyli, jak rotę knechtów otoczyły ich dziatwę, tak jak owych młodzianków za czasów rzymskich, wymordowanych przez pogan.

Jakby na pocieszenie, tego samego dnia przedarł się do miasta wysłaniec Bolesława z wieścią, że król nadchodzi, że mija już Poznań i grozi surową karą, gdyby do jego przyjsia miasto poddać się miało.

W śmiertelnej jednak obawie przebyto oznaczone dni, nie widząc nadchodzącego króla.

Szóstego dnia rano trąby zagrały w obozie niemieckim, oddziały, tak jak przy ostatnim szturmie, ruszyły ku grodowi. I któż opisze rozpacz Głogowian, kiedy w pierwszym szeregu zobaczono prowadzone swe dzieci, każde pomiędzy dwoma knechtami?

Nie bronić się—było to wydać Głogowę wrogowi. Bronić się — było to rozlać krew własną.

Lorentz oniemiał: na niego zwróciły się wszystkie oczy i posypał grad złorzeczeń. W pierwszej chwili stracił prawie głowę; oprzytomniawszy, tak przemówił:

— Powiedzcie mi, czem byliście naprzód? Czy ~~Słowianami~~, czy odrazu rodzicami? Po drugiej król Bolesław zapowiedział, że nas krzyżować będzie za poddanie miasta, gdy Niemców pobije i wypędzi. Ocalając dzieci, gubimy siebie. Po trzecie, kto z was zaręczy, że cesarz dotrzyma

Polakami

nam warunków ugody? Więc niema dla nas wyboru, jeno poświęcić się należy; widać, że taką jest wola Boża. Bóg dał, Bóg bierze! Do łuków, do kusz! do toporów, bracia!

Ta przemowa i te jasne dowody sprawiły pożądany skutek; chwycono za broń z rozpaczą i wściekłością, aby na wrogu pomścić śmierć dzieci.

Niemcy ze swym obłudnym okrzykiem «Bóg z nami!» zbliżali się ku murom, pewni, że mieszczanie bronić się nie będą. Ale gdy podeszli na rzut strzały, osypani zostali pociskami tak, że pierwszy szereg ich padł, niestety i z dziećmi.

Napastnicy oniemieli. Zgroza ich czynu przemówiła nawet do tych serc bezlitośnych.

Za wojskami, idącymi do szturm, widać było i cesarza Henryka, okrytego świecącą zbroją. Chciał on w niej odbyć wjazd uroczysty do miasta z całym orszakiem swych dostojników.

Bój się zawiązał. Z prawej strony rozwijały się zastępy Turyngów pod wodzą margrabiego Ludwika i Franków, dowodzonych przez księcia na Münsterbergu, uzbrojonych przeważnie w topory, aby, gdy walka zawiąże się od frontu, wyrąbywać tyny i zasieki po bokach.

Na lewem skrzydle szli Boje, Morawianie i Czesi pod wodzą Castellowitza, a obok cesarza jechały hufce kopijników.

Postępek nieugiętych Głogowian przeraził nawet samego Henryka; ponuro też odezwał się do będącego przy jego boku Genna:

— Nie panować nam nad takim ludem! Nie czas już cofać się; straciłem nadzieję zdobycia Głogowy.

X. ODSIECZ KRÓLA BOLESŁAWA.

W tej samej chwili do jego uszu doleciały dźwięki surm bojowych, ale jakoś nie na niemiecką nutę. Doniesiono mu z przestraczem, że nadchodzą wojska Bolesława.

Odwrót, odwrót! jęknęła trąbka przybocznego trębacza; sygnał ten powtórzyły trąby wszystkich oddziałów i osłupieli niemcy stanęli z nieruchomemi palcami na cięciwach.

Niepojęty przestrach ogarnął hufy najeźdźców, gdy zobaczyli pułki lotnej, szykownej i doskonale uzbrojonej jazdy Bolesława.

Teraz przydała się obecność cesarza; gdyby nie on, pierzchnęliby zupełnie z pola, ale margraflowie sformowali czworobok najeżony dzidami i pod ich osłoną niemcy cofnęli się do obozu.

Jazda Bolesława szczerbiła jednak szeregi niemieckie z przodu i z boków. W tej chwili brama miasta otwarła się od tyłu i matki wybiegły szukać swych dzieci. Połowę znaleziono zabitych, dużo rannych, zaledwie dziesiątek zdrowych, porzuconych płakał ze strachu.

Bolesław, który zaledwie z 6 tysiącami swych wojów nadbiegł, zrozumiał, że wdać się w formalną bitwę z czterdziestotysięczną armją Henryka nie może, tem więcej, że i ta garść jego rycerstwa była ogromnie zmęczona szybkim a tak długim pochodem, gdyż w ciągu kilku dni 60 mil przeszli bez odpoczynku.

Zatrzymał więc swe hufce i cofnął się opodal, chcąc dać wypoczynek strudzonym. Wiedział, że Głogowa już ocalona, bo niemcy nie będą śmieli jej szturmować.

Na zebranej naradzie postanowiono prowadzić wojnę tylko podjazdową, niepokoić nieprzy-

jaciela, przecinać dowozy żywności i urywać co można, a czekać na przybycie posiłków, po które król zaraz wysłał Sobiesława do Krakowa, Magnusa w Sieradzkie, Skarbimierza do Wielkopolski, zalecając im jak największy pośpiech w przybyciu z posiłkami w okolice Wrocławia. Już wiedział, że Henryk pociągnie w tym kierunku.

Cesarz rzymski, zobaczywszy tak nieliczne wojska królewskie, postanowił w rzeczy samej nie porzucać zamiaru dalszej wojny i na drugi dzień, ale już bez surm i rogów, wyruszył ku południowi. W drodze lotne oddziały polskie otaczały go ciągle, szarpiąc boki wojska niemieckiego, psując drogi, robiąc zasieki po lasach i niepokojąc w dzień i w noc. Sprowadzanie żywności musiały już wykonywać oddziały parotysięczne, a i to przychodziło z coraz większą trudnością.

Nieraz zdawało się Niemcom, że wojska królewskie już ustąpiły, ale gdy tylko dopuścili się najmniejszej niebacznosci, hufce polskie wyskakiwały jak z pod ziemi i mordowały wroga bez litości.

Bolesław zawisł jak jastrząb nad Henrykiem.

Nareszcie w okolicach Trzebnicy doczekał się Bolesław posiłków; postanowił więc stoczyć stanowczą bitwę na polach Hundsfeldu (Psiego pola). Rankiem 12 października 1109 roku trąby wojsk Bolesława zagrały bojowo, a tak wcześniej, że Niemcy niewyspani i głodni dopiero budzili się ze snu na swoich legowiskach.

Skarbimierz na czele wybornej jazdy kopijników sunął jak lawina z góry; za nim ruszyło całe wojsko z Bolesławem na czele. Po niedługiej już walce tył podali Niemcy.

Rycerze Bolesława nie dawali pardonu, siekąc mieczami bez litości i bez wytechnienia go-

niąc wroga na mil kilka. Rzeź taka trwała do wieczora prawie, bo piesze oddziały, niezdolne do szybkiej ucieczki, zaległy trupem pobojuwisko.

Na drugi dzień Bolesław kłopotał się, jak usunąć taką masę trupów, które zgnilizną swoją mogłyby sprowadzić morowe powietrze.

Historja nie rozjaśniła nam, czy bitwa ta przybrała nazwę Hundsfeldu (Psiego pola) od miejscowości, czy też miejscowość tę odtąd nazwano Psiem polem, ale to jest pewną rzeczą, że nazwa ta przetrwała wieki i na wieki pozostanie.

Wróćmy jeszcze raz do Głogowy.

Po bitwie pod Hundsfeldem Bolesław przyjechał, aby osobiście podziękować mężnym jej mieszkańcom za wstrzymanie głównego napadu do czasu jego przybycia i sparaliżowanie wszystkich planów cesarza niemieckiego.

Burmistrz Lorentz na czele rady miasta, w otoczeniu wszystkich mieszkańców przyjmował chlebem i solą dzielnego króla.

Król, otoczony swojemi wojewodami, zsiadł z konia i zarzucał złote łańcuchy na szyje starszych miasta. Następnie kazał sobie przedstawić te matki, które dały w zakład i straciły swe dzieci, i tak się do nich odezwał:

— Schylam czoło przed wami, zacne niewiasty! Nie płaczcie po swoich synach! Może właśnie krew tych niewinnych młodzieniaszków wyprosiła to zwycięstwo, jakie odniosłem na wrogu. Nazwiska wasze i imiona dzieci waszych, burmistrzu, zostaną wypisane na tablicy i zawieszone w waszym tumie. Cześć wam Szlężacy! Należyście do tych, co przejdą do potomności. Ja wam dziękuję, że obok was historja może i moje imię zapisze.

Lud cisnął się do króla, całując jego ręce, kolana, szaty i w tryumfalnym pochodzie wiódł

go na ratusz, gdzie burmistrz już zawczasu przygotował ucztę dla króla.

Z radosnym uśmiechem na twarzy i jasnym spojrzeniem swych oczu niebieskich młody król zasiadł do stołu, posadziwszy przy sobie Lorentza.

W czasie uczty kazał sobie opowiedzieć dzieje całego obłężenia i bitew, więc przy opowiadaniu o spaleniu wież wyszedł na scenę Stefan. Król kazał go zawołać, a gdy ten zgiał kolana, aby ucałować rękę króla, Bolesław z właściwą sobie serdecznością zapytał, w jaki sposób ma go wynagrodzić.

— Wezmę cię do mojej straży przybocznej, wyrośniesz na prawdziwego woja i zrobię z ciebie rycerza — powiedział król.

— Miłościwy Panie mój i Królu, jest to naprawdę zaszczyt nie mały i nie wiem jak ci, królu, dziękować za to; ale jako syn mieszczanina, byłbym może nie uważany na równi z twemi rycerzami, — mnie pozostać w Głogowie. Ale gdy chcesz mnie, królu, nagrodzić, to powiedz naszemu Burgermeistrowi Lorentzowi, aby mi oddał za żonę swą córkę, którą nad wszystko miłuję i bez której żyć nie mogę. Pozostaniemy w Głogowie i wierz mi, królu, że wiernym będę ci sługą.

Podobały się Bolesławowi te śmiałe i tak otwarte słowa Stefana i rzekł:

— A zawołajcież mi tę dziewczkę, dla której ten młodzieniec wyrzeka się złotych ostróg, chociaż dowiódł, że jest rycerzem. Niech spojrzę na tę, która może bezwiednie zrobiła z niego woja.

Widząc tak jawną życzliwość króla, burmistrz poszedł sam po córkę i zapłonioną przedstawił królowi, a gdy ta schyliwszy się, całowała ręce Bolesława, w tym samym czasie król zawie-

sił jej na szyi kosztowny naszyjnik, podany mu prędko przez Skarbimierza, jakby na to przygotowany. Skąd miał go przy sobie Skarbimierz, to pozostało tajemnicą.

Król z zadowoleniem patrzył na gładkie lice Klary i rzekł jakby do siebie:

— Może to i lepsze niż złote ostrogi.

A zwróciwszy się do burmistrza, powiedział:

— Zapewne, sławetny Lorentzu, nie będziesz miał nic przeciwko takiemu mężowi dla twojej córki? Nie mam czasu, aby go pasować na rycerza podług wszystkich form, ale daję mu na pamiątkę tę zbroję, jaką miałem na sobie pod Hundsfieldem (Psiem polem); to uczyni go także rycerzem.

— Nie mogę się przeciwieć rozkazom mego Pana — odpowiedział politycznie Lorentz.

— Dziękuję wam, Ja król, w imieniu Stefana i żałuję, że nie będę go miał przy sobie; z drugiej zaś strony kontent jestem, że Głogowa po waszem najdłuższem, co daj Boże, życiu, będzie mieć takiego obrońcę od Niemców.

Biorąc później za puhar, król powiedział jeszcze te słowa:

— Piję zdrowie niewiast Głogowy, piję zdrowie was wszystkich, a ponieważ dzisiejsze wasze miasto leży wśród błot, w nizinie i bagniskach, pozwalam wam przenieść je na drugi, wyższy brzeg Odry, oddając potrzebną pod to ziemię i drzewo z lasów królewskich na wszystkie budowle. Na kosztą zaś przeniesienia uwalniam was od wszelkich danin, jakie płaciecie do skarbu, na przeciąg lat dwudziestu.

Wszyscy biesiadnicy rzucili się do rąk królewskich, dziękując za ten zaszczyt i łaski, a biesiada długo się jeszcze przeciągnęła.

Na drugi dzień Bolesław opuścił Głogowę,

śpiesząc do swoich wojsk, odpoczywających pod Wrocławiem, aby z nimi wyruszyć ku wschodnim kresom, dokąd go wzywano.

Zawarcie później pokoju z Henrykiem, legenda o Skarbimierzu (Skarbku) z pierścieniem i dalszy rozwój Słowiańszczyzny są wiadome, odsyłam więc czytelników do historii, która nie była głównem mojem zadaniem, chociaż fakty przytoczone są z niej poczerpnięte.



TREMBOWLA

ROK 1675.

I. SAMUEL CHRZANOWSKI.

Było to w roku 1675. Śniegi spływały, powietrze dyszało wonią wiosny i trawa zaczęła już pokrywać ziemię młodą, jasną zielenią. Lecz z rozkoszą wiosenną rosła również obawa ponownego najścia dziczy tatarskiej, niosącej zawsze zniszczenie i pożogę i uprowadzającej w niewolę ludność bezbronną.

A Tatarzy umieli zużytkować wszystkich.

Dorosłych mężczyzn sprzedawali do wiosłowania na galarach tureckich, które żeglowały po falach morza Czarnego i Śródziemnego, niosąc pożogę i zniszczenie na wybrzeżach.

Kobietami zapełniali swoje i swych władców haremy, starców nawet używali do strzeżenia i paszenia swoich stad.

Chwyтали nawet małe dzieci, z których chłopców sprzedawali do wychowawczych zakładów Stambułu. Z nich to wychodziły owe rotty janazarów, przed którymi drżały podbite ludy, a nie raz drżeli i sami sułtanowie. Był to taran, którym Islam bił w chrześcijaństwo i który odskakiwał tylko od pancерnej piersi tych orłów husarzy i z jękiem kładł się pod kopyta ich koni.

W 1440 r. Władysław Jagiełło oddał Podole, złączone z Litwą przez Witolda, pod zarząd Spytkowi z Melsztyna; wiemy, że wywołało to niezadowolenie Litwy i bunt Świdrygajły. Spytek zaniósł tam pierwszy posiew cywilizacji, prowadząc za sobą osadników z Polski, budując zamki i zamczki, aby pod ich osłoną praca rolnika nie szła na marne.

Zdobycie Kamieńca przez Turków, pozbawiwszy Rzeczpospolitą najważniejszego punktu obronnego od strony południowej, zmusiło ją do wzmacniania mniejszych zameczków dokoła.

Do takich to umocnień należała Trembowla, położona niedaleko brzegów Seretu, a dowództwo nad garstką żołnierstwa, tworzącą jej załogę, powierzył król towarzyszeni swych bojów, rotmistrzowi swej pancernej chorągwi, Samuelowi Chrzanowskiemu, którego mianował majorem.

Chrzanowski był rodem z Sieradzkiego. Choć nie szlachcic z urodzenia, w 16 roku został już porwanym w to koło rycerstwa, które do swej księgi żywota zapisywało tylko znoj i obozowe trudy niemal do zgonu, zdarzającego się najczęściej na polu bitwy. Punktowali oni swe życie bitwami, jako przecinki, wyprawami jako średniki, a zawarcie pokoju dopiero stanowiło kropkę i to z niedługim przystankiem. Chrzanowski zaciągnął się do chorągwi pancernej i męztwem swoim dosłużył się stopnia rotmistrza. Był on ciągle przy boku Sobieskiego, dzieląc z nim trudy wypraw, które Sobieski odbywał na-przód jako marszałek koronny, a później jako król.

W ten sposób major Chrzanowski przeżył 24 lata.

Bywając w chwilach spokoju pomiędzy wyprawami w Radomskim, poznał tam Annę de Frieze, córkę spolszczoną już rodziny.

Dziwnie miękki i łagodny w życiu domowem, był towarzyski w obozie; stroniąc zarazem od zbyt hałaśliwych uczt i pijatyk, posiadał dar wyjścia z takowych, jeżeli już inaczej być nie mogło, zawsze z głową przytomną; był lubiany przez towarzyszków broni, ceniony przez władzę, bo z roztropnością i zimną krwią łączył prawdziwe męstwo, rachując się zawsze z okolicznościami i z miejscem.

Nie też dziwnego, że 18 letnia dziewczyna, zasłuchana nieraz w opowiadaniach Chocimskiej wyprawy, kreślonych żywym słowem rotmistrza, powzięła szacunek, który pod darem ciepłego słowa i strzelistych spojrzeń majora, zamienił się w prawdziwą miłość i że Anna, pomimo młodocianego wieku, pokochała już nie pierwszej młodości człowieka, którego czoło nosiło ślady jataganów tureckich i tatarskich, ale który w twarde młode życie zachował cały urok młodzieńczej duszy i wrodzonej poezji.

Serce kobiety przeczuwało dobrze, że wsparta na poczciwym, silnem i prawem ramieniu, przejdzie przez życie w spokoju, otoczona życzliwością i poważaniem ludzi. Major oświadczył się o rękę pięknej Anny.

Rodzice jej, patrzący zimniej na rzeczy, nie stawiali opozycji pragnieniom córki, tylko nastawali na majora, aby porzucił służbę wojskową, bo byli już posesorami i chcieli zatrzymać córkę przy sobie, którą, jako jedynaczkę, kochali bardzo; ale major pomimo miłości dla Anny i wdzięczności dla jej rodziców, nie mógł oswoić się z myślą, aby opuścić szeregi wojskowe, koleżeństwo, towarzyszków i ukochanego wodza, a teraz króla.

A właśnie w tym czasie Rzeczpospolita potrzebowała zasobu sił wojennych dla obrony

przeciw Tatarom i Turkom. Chrzanowski czuł to, że żona i przyszła rodzina nie mogły być w zgodzie z Belloną (bogini wojny), że podobać dwom obowiązkom, męża i żołnierza, jest trudno, lecz nie miał siły na zerwanie z jednym lub z drugim.

Położenie to swoje odsłonił Janowi III przy bytności swej z żoną w Żółkwi, a król, jak przyjaciel i ojciec, oceniając tę walkę wewnętrzną rotmistrza, a nie chcąc go utracić z szeregów rycerstwa, znalazł pośredni sposób pogodzenia, dając mu służbę garnizonową, wiedział bowiem, że w lepsze ręce oddać jej nie może.

Anna podczas bytności swojej w Żółkwi, znajdując się niedaleko od południowej granicy i miejsca ciągłych wypraw wojennych, przeczuwała, że Trembowla nie da jej tego spokoju, jakiego potrzebuje kochające serce żony a później matki, ale wiedziała też, że rozstanie się męża z jego zawodem byłoby mu bardzo bolesnem, a po drugie, czuła, że nie powinna i nie może zmienić woli królewskiej i z poddaniem się przyjęła ten wyrok, pomimo że major, nie osłaniając nic przed nią, skreślił jej obraz przyszłego życia niespokojnego, niepewnego, pełnego trudów na tej jakby straconej pikiecie.

Kochając żonę nad życie, proponował jej powrót do rodziców, sądząc, że spodziewana wojna nie pociągnie się długo. Obiecywał, że wróci natychmiast po zawarciu pokoju, ale Anna odrzuciła tę propozycję, z uśmiechem mówiąc:

— Przysięgam ci na stopniach ołtarza posłuszeństwo, wierność i że cię nie opuszczę aż do śmierci—więc zostanę!

Słowa te wprawiły majora w taką radość, że zaprosił towarzyszków do swej kwatery i z trzewika ukochanej swojej, jak ją nazywał, dziewczyny, pił jej zdrowie.

Po rozejściu się gości Annie bezwiednie wydarł się okrzyk:

— Ach! mężu, jednak ja się boję tych Tatarów! Powiedz mi, czy to prawda, że u Tatarów kobieta ceni się na równi z koniem lub wołem, że ją kupują i sprzedają?

— Tak—odpowiedział major—ale to zależy od tego, czy młoda, ładna, stara lub brzydka. Kobieta w twoim wieku i z twoją urodą jest dla nich cennym nabytkiem, takiej nie prowadzą na smyczy przy koniu, ale trzymają przed sobą na siodle, lub też wiozą na kibitce. Po powrocie do Krymu Tatar oblicza, co będzie korzystniejszym, czy zatrzymanie jej dla siebie, czy też sprzedanie do haremu sułtańskiego. Bogaty ją zatrzyma, biedny zaś sprzeda, bo wie, że w niedostatku uroda kobiety wiednie prędko, szczególnie w niewoli. Stare znów kobiety muszą usługiwać ich żonom, pracują przy gospodarstwie, szyją odzież, tkają dywany, a żywią je o tyle, aby utrzymać w nich życie i siły; póki ich zgrzybiała starość nie zwątli. Wtenczas wypędzają je na świat boży nie pytając, co robią. Nadzieja otrzymania wykupu zmienia stan rzeczy zupełnie, wtedy szanują w nich cenę—pieniądz.

— To straszne, mój mężu!—powiedziała Anna—ale ty nie pozwolisz odebrać sobie swej żony, nieprawdaż?

— Tego bądź pewną, bo nie mógłbym żyć bez ciebie, zresztą wołałbym widzieć cię trupem, niż w namiocie Tatar. W Bogu jednak nadzieja, że do tego nie przyjdzie. Wyteżę też wszystkie siły rozumu, ramienia i woli, aby podobny wypadek nie zaszedł; przestań więc myśleć o tem, a co najważniejsza nie bój się, bo obawa odbiera zdrowie, radość i uśmiech, a ja tak lubię patrzeć na twój uśmiech i widzieć wesele na twarzy.

II. NAZNACZENIE I INSTRUKCJE.

Wezwany do króla Chrzanowski, usłyszał, że wyjazd jego do Trembowli musi prędko nastąpić, bo odebrano wieści, że Tatarzy już ruszyli z Krymu i razem z hordami Budziaku wyleją się znów na Podole i Wołyń, mając teraz punkt oparcia w Kamieńcu.

Major postanowił nie jechać teraz z żoną do rodziny. Jego matka już nie żyła, napisał więc tylko do rodziców Anny o woli króla, o prędkim wyjeździe swym do Trembowli i zapewniał o bezpieczeństwie, prosząc, aby odrazu tam wysłano to, co będą uważać za konieczne do zagospodarowania się na nowej siedzibie.

Król zaznaczył majorowi dzień wyjazdu z Żółkwi i zarządził balik niby na pożegnanie majorostwa, zaprosiwszy na niego obecnych przy swej osobie wodzów i dworzan.

Z nastaniem zmroku komnaty królewskie zajaśniały światłem i zaczęły się napełniać. Chrzanowscy oboje wystrojeni, ona w jasnej jedwabnej sukni, z robronem i perłami na szyi, on w aksamitnym czerwonym kontuszu i żółtym jedwabnym żupanie, spiętym pięknem brylantowem zapięciem, z bogatą szablą przy boku, zdobytą w boju, przestąpili progi królewskiej rezydencji.

Dostojny gospodarz, pomimo swego wysokiego stanowiska, z całą wrodzoną mu uprzejmością podał ramię majorowej, zarumienionej tą oznaką uprzejmości i zaprowadził ją do swej Marysieńki. Lecz ta, będąc zawsze zazdrosną, skrzywiła się trochę, patrząc i słuchając, jak jej małżonek prawił komplementy przystojnej Chrzanowskiej, a choć Anna, przyprowadzona przez króla, oddała królowej głęboki ukłon, otrzymała

zaledwie dostrzegalne kiwnięcie głową. Zmieszana tem, była zadowolona, że mogła usiąść opodal królowej, na jednej z ławek, któremi ściany sali balowej były otoczone. Ściany te, lakierowane biało ze złotymi ozdobami i wysłane purpurą, przy białych również ścianach ze złotymi ramami wyglądały wspaniale i całość była odpowiednią tej prywatnej rezydencji królewskiej.

Jan III zauważył grymas swej Marysienki, ale nie tracąc fantazji, pokręcił tylko bujnego wąsa i gdy muzyka zagrała poloneza, jakby na przekór całej etykiecie, poprosił majorową do tańca, dając znak hetmanowi Jabłonowskiemu, aby z królową stanął w pierwszą parę, co tej ostatniej nie poprawiło humoru, pomimo, że jak niesie podanie, Marysienka lubiła robić słodkie oczy do Jabłonowskiego.

Dopiero przy odbijaniu królestwo znaleźli się razem na chwilę, ale po rozmowie, przy której Jan III motał tylko nerwowo wąsy, podszedł znów do majorowej, a porzucając komplementy, mówił jej tylko o spodziewanej lada chwili wojnie i o ważności utrzymania Trembowli i dodał:

— Spokojny będę, bo major, broniąc żony, i Trembowli wziąć sobie nie pozwoli.

— Możesz być tego pewnym, Najjaśniejszy Panie—odpowiedziała majorowa—i gdyby mojemu mężowi sił zabrakło, to ja je będę miała, wiedząc jak wielką wagę Wasza Królewska Mość przywiązujesz do tego miejsca—i dodała gorąco:

— Śpij spokojnie, Królu Panie. Tatarzyn Trembowli nie zdobędzie; zdobyć może tylko gruzy i trupy jej obrońców, kiedy obrona będzie już niepodobieństwem. Żona majora Chrzanowskiego, chociaż pochodzenia niemieckiego, pokochała tę ziemię, na której wzrosła, i niczem nie różni się od miejscowych.

Dla wyjaśnienia rozwoju dalszego opowiadania wspomnieć musimy, że w sąsiedztwie rodziców Anny mieszkał cześnik herbu Gryf, którego syn, Kazimierz, jednego prawie wieku z Anną, wychowany niemal z nią razem, zapalał ku niej głęboką miłością, lecz Anna, darząc go siostrzaną przyjaźnią, nie wiedziała o tem. Niespodziewane małżeństwo jej z Chrzanowskim zabolalo serdecznie Kazimierza; przypłacił to chorobą, z której podźwignawszy się i idąc za prądem ogólnym, zaciągnął się do wojska, aby zapomnieć lub zginać. Zanimby jedno lub drugie nastąpiło, poprzysiągł sobie czuwać nad losami Anny, zdawało mu się bowiem w młodości, że opieka majora jeszcze jest dla niej niewystarczająca.

Po naznaczeniu Chrzanowskiego na obrońcę Trembowli użył Kazimierz wszelkich możliwych stosunków i wpływów, aby być zaliczonym do tego oddziału dragonii, która tworzyć miała z innemi wojskami garnizon twierdzy. Siłą woli zaparł swą miłość na dnie serca tak głęboko, że żadne oko wysledzić jej nie zdołało, tem więcej, że był z głębokim szacunkiem dla majora, którego znał od lat swoich chłopięcych.

Starania jego udały się, a ponieważ gorliwością w pełnieniu obowiązków dał się już poznać hetmanowi Jabłonowskiemu, ten więc umieścił go w randze porucznika w oddziale dragonów, który był przeznaczony dla Trembowli.

Chrzanowski nie domyślał się również miłości Kazimierza dla swej żony i jako syna sąsiadów przyjął go nawet życzliwie; pochlebialo mu to cokolwiek, że syn starego rodu będzie pod jego, choć nie szlacheica, zwierzchnictwem.

Anna również cieszyła się z tego, Kazimierz przypomniat jej bowiem dom rodziców, dziecięce lata i wspólne kiedyś igraszki.

Już na kilka dni naprzód przed wyjazdem Chrzanowskich Kazimierz odebrał rozkaz wyjścia z oddziałem dragonów; ruszył też, jak wskazywała marszruta, na Lwów, Mikołajów, Brzeżany i Podhajce, a wiedząc, że zaraz po nim i Chrzanowscy wyjadą, przygotowywał dla nich popasy i noclegi, zostawiając po drodze na każdym etapie jednego z żołnierzy, którzy mieli potem łączyć się z orszakiem majora.

Po skończonej zabawie król, chcąc dać majorowi ostateczne instrukcje, wezwał go do swojej komnaty, gdzie siadywał przy pracy, i w te odezwał się słowa:

— Pokój zawarty w Buczaczu, skutkiem którego Rzeczpospolita zmuszoną była po utracie Kamieńca oddać Podole i płacić haracz, musi być zerwany, choćby dla tego, że przysięgłem w Paktach Conventach odebranie Turkom Kamieńca. Mam nadzieję, że niewielu mamy podobnych posłów Grudzińskiemu, który śmiał powiedzieć: «Dla niedojścia Sejmu jedna Ukraina od ciała Rzeczypospolitej odpaść może, a dla nieprzyznania ważności głosowi poselskiemu, wolność całego narodu szwankowaćby mogła.» Hussej Basza nie zapomni nam Chocima i chociaż sułtan pierwszy nie zerwie traktatu, jednak przygotowany niby bez jego wiedzy napad Tatarów zmusi nas do zerwania pokoju. Położenie nasze jest bardzo trudne i ciężkie; o pospolitem ruszeniu nawet marzyć nie mogę, a te kilkanaście tysięcy kwarcianego wojska i kilka tysięcy zaciągów są za małą ilością; z wielkim więc tylko wysiłkiem bronić się będziemy mogli. Przewidując a nawet wiedząc napewno, że Tatarzy pod wodzą Hana Hadzi Gereja wpadną w nasze granice, dokładam usiłowań, aby zameczki podolskie opatrzyć w broń i załogę, ażeby mogły powstrzymać do

jakiegoś czasu pierwszy napór i zasłonić ludność nieszczęśliwego kraju. Do Trembowli jako załogę hetman Jabłonowski wysłał już przed kilku dniami 300 dragonów, o czym zapewne Waszmość wiesz; żołnierz to dobry, a dodany do 600 piechoty stanowiących załogę miejscową, da wam, Waszmość Samuelu, możność oporu, dopóki nie zdołam nadbiedz, jeżeli będzie potrzeba, z poważniejszymi siłami. Pierwszy nasz bój będzie z tatarstwem, ale nie zapominajmy, że są po za niem regularne wojska tureckie, które zapewne również wejdą do akcji. W Trembowli masz Waszmość 10 śmigownic, 15 haubic i 300 centnarów prochu; może kul działowych będzie trochę za mało, więc oszczędność zalecam. Mury naprawione, o żywność sam się postarasz, zresztą okoliczna ludność, chroniąc się do warowni, zabierze ją z sobą, raz dlatego, aby uratować swoje zapasy, a powtórę, aby je usunąć przed wrogiem. Przybywszy na miejsce, będziesz Waszmość wysyłał co tydzień podjazdy w kierunku Kamieńca, Husiatyna i Proskurowa. Podjazdy twoje muszą nam wyjaśniać ruchy Turków pod Kamieńcem, jak również i Tatarów, którzy prawdopodobnie ominą Kamieniec, aby tym sposobem przekonać nas, że napad ich jest bez wiedzy Porty, a tylko odwetem za napady kozacze. Mnie proszę nadsyłać tygodniowo raporty, jak również przysyłać dalej idące odemnie rozkazy do innych oddziałów, z których raporty kazałem kierować na Trembowlę. Pamiętaj, że powierzam ci jeden z ważniejszych punktów obrony dzisiejszej, odpowiesz za niego przed Bogiem i przedemną. To już wszystko, co miałem ci powiedzieć. Hetman doręczy ci instrukcje wojskowe. Ja skreśliłem ci położenie, jedź więc, towarzyszu; padnij, a nie daj się! Bądź zdrow!

Mówiąc to, król przeżegnał go krzyżem świętym, jaki zawsze na piersiach nosił. Podał zarazem rękę z uściskiem, którą Chrzanowski, zgiąwszy kolano, ucałował ze łzami w oczach, zaledwie mogąc wymówić:

— Królu mój, poganie nie zawładną za mego życia Trembowlą!

Podniósł się z klęczek i opuścił komnatę królewską.

III. WYJAZD DO TREMBOWLI I PRZYBYCIE TAMŻE.

Na drugi dzień wschodzące słońce oświecało orszak Chrzanowskiego, opuszczający mury Żółkwi, złożony z kolebki dla żony, kilku ładownych wozów i kilkunastu dragonów straży.

Anna ciekawie, choć trwożnie, rozpatrywała się po tej nowej dla niej ziemi. Major na dzielnym bachmacie, odmawiając poranne modlitwy, jechał z boku, konie parślały rażno, kwietniowy poranek dyszał dziwnie pachnącą wonią, światłem i weselem bogatej przyrody tej ziemi, może dla tego, że już tyle razy zlaną była rosą krwi rycerstwa i ludu.

Majorowa, zmówiwszy również poranne modlitwy, zaczęła rozmowę z mężem, wypytując o kraj, drogę i t. p. rzeczy.

— Czy daleko mamy do Trembowli?

— Do Lwowa mamy mil 3, stamtąd do Buczaca 12, z Buczaca do Podhajec 3, z Podhajec do Trembowli 6—razem 25 mil drogi. Zajmie to nam około czterech dni, nie rachując zatrzymania się we Lwowie, gdzie trzeba nam będzie opatrzyć się w niektóre zapasy, gdyż dalej już nic kupić nie będzie można. W Podhajcach zobaczysz również rezydencję królewską, którą król

lubi. Sama Trembowla leży nad rzeką wpadającą opodal do Seretu, a zameczek jest na skale. Nie wiem tylko, czy jest tam studnia, bo inaczej wodę z rzeczki sprowadzać przyjdzie, co w razie oblężenia będzie niewygodną rzeczą, a może być i niemożliwą. Trzeba będzie zaraz bić studnię w samym zamku; na wszelki więc wypadek zamówię we Lwowie studniarzy, po których posłałbym w razie, gdyby studni potrzeba było na zamku.

— A jakież tam mieszkanie mieć będziemy?

— Co do tego, nie umiem cię objaśnić; zapewne w murach sklepione. Prosiłem Kazimierza, aby je opatrzył i przygotował, o ile to być może, a zresztą z pomocą kilimków i kobierców, jakie wieziemy, będę się starał urządzić ci zaciszne gniazdko, ukochana moja. Nie wesoło ci tam będzie, na to musisz być przygotowaną, ale «bierz Michale, co Bóg daje»; aby tylko twoja służba niewieścia przybyła niezadługo, bo inaczej dragoni będą musieli zamiatać izby i gotować pożywienie, a nie wiem, czy to potrafią.

— O! co do tego, bądź spokojnym, wszak nauczyłam się tego w domu i będzie dla mnie najmielszem, gdy ukochanemu Samusiowi sama będę gotowała posiłek. Trzeba ci wiedzieć, że umiem robić różne przysmaczki francuskie, byle tylko było robić je z czego.

Tak gawędząc, przyjechali do Lwowa, który również był już na wojennej stopie, chociaż wycierpiał niedawno wojny kozackie. W bramie były warty, po ulicach rozjeżdżały patrole, ale miasto kipiało życiem i gwarem, będąc z położenia swego i pod względem handlu punktem przechodnim wschodu i północy, a piętno tego wschodu nadawali mu kupcy tatarscy i tureccy i Ormianie. Ci ostatni tylko religją i językiem różnili się od pierwszych.

Lwów, położony niemal na kresach Polski, w ostatnich kilkudziesięciu latach widział pod murami i w murach swoich różne nacje. Za Jana Kazimierza zawładnęli nim Szwedzi. Ostatnio patrzył ze swoich murów na hordy tatarskie pod dowództwem Dziambel Gireja. Oswobodziła go piorunująca wyprawa Sobieskiego, wówczas marszałka wielkokoronnego, który z 3 tysięcznym oddziałem, naprędce w przeciągu 9 dni zebrany, rozproszył hordy Krymców, Nahajców, rozbił cztery kosze i oswobodził dziesiątki tysięcy brańców. Przedtem Lwów widział Chmielnickiego ze zbuntowaną kozaczyzną, co omal nim nie zawładnęła; pomimo to było to miasto bogate i ruchliwe. Umieściwszy się w domu zajezdny, Chrzanowscy wyszli razem, ona — kompletować gospodarstwo, on zaś — do komendanta zakomunikować mu rozkaz oddania pod jego komendę kilku puszkarzy i udzielenia potrzebnych zapasów wojennych. Potem poszedł zamówić studniarzy i t. p.

Na trzeci dzień, już dobrze ku południowi, wyjechano ze Lwowa, aby nie zatrzymując się nigdzie prócz noclegów, dążyć do Trembowli.

Orszak powiększył się o kilkanaście wozów z amunicją różnego rodzaju i o kilkunastu ludzi wykomenderowanych do obsługi armat; więc podróż była gwarniejszą, choć powolniejszą.

Uroczę krajobrazy galicyjskiego Podola przesuwwały się przed oczyma Anny; zapach pól, łąk i kwiatów nieznanych, które właśnie już rozkwitały, wywoływały jej podziw i pytania.

Przywykła do nizin radomskich, teraz gdzie okiem rzuciła, widziała góry i lasy i czarnoziem bogaty. Pola zasiewały się już jaremi zbożami, zimowe obsiewy kołysały się bujną runią zieleni. Rozlicznego rodzaju ptactwo świergotało radośnie i drop spłoszony ciężko i hałaśliwie wznosił się w powietrze.

Chrzanowski, zawołany myśliwy, z żalem patrzył, jak różna większa i mniejsza zwierzyna prawie z pod nóg pomykała w dal, a charty na smyczy prowadzone również napróżno się rwały, bo ani pora, ani czas był po temu, aby można pohulać w przestrzeni.

Po noclegu w Brzuchowcach, gdzie zastali przygotowaną przez Kazimierza kwaterę, przybyli do Buczacza, a tam znów przenocowawszy, stanęli w Podhajcach. Tu Chrzanowski musiał się zatrzymać, aby dopilnować wykonania niektórych poleceń króla, danych tamtejszemu komisarzowi i dowódcy konsystującego oddziału.

Anna z podziwem oglądała dworzec Podhajski, gdzie często przebywał Jan III i gdzie wszystko i zawsze przygotowane było na niespodziewane przyjazdy tego ruchliwego wodza i króla.

Podhajce stanowiły pewnego rodzaju punkt obrony, w którym konsystował zawsze oddział wojsk Rzeczypospolitej dla ochrony okolicznej ludności przed luźnymi watahami Tatarów i hajdamaków.

Dopiero piątego dnia Chrzanowscy opuścili Podhajce, spodziewając się już na drugi dzień stanąć w Trembowli. Jakoż koło południa wjeżdżali w bramy warowni umajone zielenią przez Kazimierza na przywitanie pani majorowej, którą też na czele miejscowej załogi witał mową i wystrzałami z muszkietów porucznik Głębocki.

Wbiło to w dumę Annę, która nie przeczuwała, że witał ją zielenią wielbiciel jej, a nie podwładny męża. Ciekawie rozglądała się dokoła.

Podług regulaminu wojskowego bramy były zamknięte, bo chociaż warta, stojąca na wieży, widziała zbliżający się orszak i wiedziała, kto jedzie, dopiero na sygnał dany trąbką most zwo-

dzony opadł. Po podaniu im dawnym zwyczajem chleba i soli Kazimierz zaprowadził ich do niewielkiej kamiennej budowy, opartej o mury, która stanowić miała mieszkanie komendanta.

Na dziedzińcu ustawiała się załoga, która lubo wiedziała, że Chrzanowski będzie jej dowódcą, czekała, aby urzędowo objął posterunek i odczytał przed frontem ordynans hetmański.

Po załatwieniu tej czynności i rozpuszczeniu żołnierzy poszedł Chrzanowski zbadać kwestję studni i wody. Studni nie było. Obrawszy miejsce na kopanie takowej, wybrał zaraz kilkunastu ludzi do rozpoczęcia pierwszych robót, a przez powracające do Lwowa furmanki wysłał list do komendanta, aby mu przysłał zamówionych już studniarzy.

Uporawszy się z tem, dopiero udał się do kwatery, gdzie żona już rozglądała się, rozmyślając, jakie przeznaczenie dać czterem dość obszernym izbom, z jakich się to mieszkanie składało. Były już świeżo ubielone, umiecione i pomyte staraniem Kazimierza, ale świeciły nagością i brakiem sprzętów.

Ponieważ wówczas wożono z sobą łóżka składane, a nawet zydle i stoły, których kilka sztuk przywieziono, przy pomocy więc dywanów i kilimków w niedługim czasie kwatera przybrała pozór przyzwoitego mieszkania.

Wielką przyjemnością dla Anny było, gdy zobaczyła przed oknami ziemię skopaną pod zasiew i ogrodzoną pod przyszły ogródek kwiatowy, jaki miał powstać przy pomocy nasion, w które się zaopatrzyła i które pod łagodnym, ciepłym już w tych stronach klimatem na bujnej ziemi obiecywały zejść prędko. Uradowało ją także kilka kur gdakających i grzebiących przed domem, a kiedy usłyszała i krowy ryczące w obór-

ce i zobaczyła stajnie dla koni dragonów i koszary załogi z kuchnią i piecem dla wypieku chleba, to zdawało się w pierwszej chwili, że jej nie tutaj do życia nie braknie.

Po drugiej stronie mieszkania komendanta szły magazyny zbożowe, szopy na słomę i siano, a dalej znów pod murami mieściły się cekhauzy z armatami i bronią.

Po południowym chwilowym spoczynku major obszedł wały i mury, obejrzał drobiazgowo bramy, a rozejrzawszy się w całym położeniu, żałował, że warownia dotykała rzeczulki nie od wschodniej strony, lecz od zachodniej. Ze wschodu bowiem miał przybyć nieprzyjaciel i rzeka, choć niewielka, broniłaby doskonale wału i muru fortecznego....

Potem zbadał zejście do rzeki i ścieżkę, po której noszono wodę. Spostrzegł i uznał za konieczne zabezpieczyć ją w kilku miejscach osłanami ziemnymi od strzał i pocisków, aby nieprzyjaciel nie spostrzegł jej na razie i nie opanował łatwo.

Wiedział dobrze, iż brak wody to właśnie słaba strona i postanowił sobie zrobić wszystko, co jest w mocy ludzkiej, aby wykuć studnię w dziedzińcu i o ile być może najprędzej.

Żona jego tymczasem z pomocą Kazimierza i dragonów gospodarowała zawzięcie przy urządzaniu mieszkania.

Kazimierz podchwytywał myśli jej i wprowadzał je zaraz w wykonanie, a w duszy dziękował Bogu, że mógł być pomocny ukochanej kobiecie, na którą niestety patrzeć mu tylko było wolno.

Z nadejściem zmroku wybębniiono capstrzyk i warownia, tak gwarna dotąd, pogrążyła się w ciemności i milczeniu.

Dom komendanta jaśniał długo światłem, które również zagasło, i tylko wzajemne nawoływania się wart, dla wykazania czujności, przerywały dokoła ciszę.

Następnego poranku, kiedy rozbudziło się życie, Chrzanowski poprosił oficerów załogi o przybycie na naradę celem bliższego ich poznania. Chciał również wybrać z nich dowódcę pierwszego podjazdu, jaki zamierzał wysłać w kierunku Kamieńca, stosownie do instrukcji króla.

Grono starszyny warowni składało się z sześciu osób: Stefana Głębockiego, który do przybycia Chrzanowskiego zawiadywał twierdzą, kapitana petyhorskiej chorągwi, mającego około czterdziestu lat. Na śniadej jego twarzy było wypisane niemal całe życie spędzone na słotach, wichrach, mrozach i upałach w obozie i w polu. Twarz pocięta pocałunkami szabel, powleczone była pergaminową prawie skórą, ruchy sztywne, żołnierskie, głos ostry, chrapowaty. Surowym był w pełnieniu służby, po za nią był ojcem żołnierzy, dobrym towarzyszem kolegów, z którymi dzielił się nawet swoją lafą (płacą) w razie potrzeby, bo oprócz niej i zdobyczy wojennej, jaka w one czasy stanowiła własność zwycięzcy, innych funduszków nie posiadał. Ród swój wywodził z Owruckiego, gdzie rodzina ta zdawna osiadła była, i krewniacy jego zaliczali się do *Be ne nati et possessionati*, jak wówczas mówiono.

Drugim oficerem był Trzeciak, porucznik regimentu Imci pana wojewody Kijowskiego; stanowił on przeciwieństwo zupełne z Głębockim: hulaka, awanturnik przy kieliszku, rozrzutny, gdy miał grosz w kalecie, a poprzestający na małym kiedy go brakło, bo zasiadał nieraz i do żołnierskiego kotła, aby zaspokoić olbrzymi apetyt. O dużo młodszy od pierwszego wiekiem i rangą,

bo petyhorskie chorągwie jako płatne ze skarbu państwa liczyły się niżej od wojewodzińskich, miał wielką słabość do płci pięknej, a stąd ciągle awantury po kwaterach z mieszczanami i z wiejską ludnością. W jednym tylko męstwie nie ustępował innym i nie cofał się nigdy przed niebezpieczeństwem; nie wymawiał się od straconych pikiet i do bitwy stawał zawsze z tak dobrą fantazją jak i do tańca.

Trzecim był znany nam już Kazimierz Gryf.

Czwartym był oficer zaciężny, niemiec Herman, rodem z Saksonji, przełożony nad armatą, który pomimo kilkoletniego pobytu na Podolu słabo się wyrażał po polsku, co było przedmiotem żartów i kpin towarzyszków; ale co dziwniejsza, że i rodowitego języka coraz więcej zapominał.

Sprowadzony do Polski za Jana Kazimierza, zżył się już z krajem, ożenił się z mieszczańką krakowską, ubogą, ale rządną kobietą, i desperował tylko, że nie mieli dzieci; tem więcej za to kochał swoją Kätchen i nie rozłączał się z nią nigdy, prowadząc ją za sobą wszędzie, gdzie tylko był wysyłany do garnizonów.

Piątym był wachmistrz dragonów, Piotr Żubr, któremu tylko nieumiejętność pisma przeszkadzała w otrzymaniu oficerskiego stopnia. Miał lat 50, z których 32 spędził na koniu. Postrach dla prostych żołnierzy, nieubłagany przy spełnianiu rozkazów, ale bez daru samoistnej wynalazczości, był tylko wybornym podwładnym, nie odstępującym od instrukcji na jotę, ale poza tem nie chcącym nie brać na swoją głowę i odpowiedzialność.

Szóstym był feldfebel piechoty, żołnierz męzny, pracowity i cichy, doskonały zwierzchnik w koszarach, sprawiedliwy gospodarz przy roz-

dziale żywności, Litwin rodem; zwał się Sadajtys.

Kiedy wszyscy się zeszli, Chrzanowski zakomunikował im instrukcje królewskie i w te słowa przemówił:

— Kochani moi towarzysze, dotychczas nie znamy się prawie zupełnie, to jest ja nie znam was, wy zaś mnie. Znaleźliśmy się tutaj na tak zwanej straconej pikiecie. Otóż poprzysiągłem królowi nie oddać tej warowni za naszego życia, bo murami jej i naszą piersią mamy zatrzymać Tatarów w ich spodziewanym napadzie. O odwadze waszej nie wątpię. Będę odtąd waszym towarzyszem, opiekunem i przyjacielem od duszy w czasie spokoju, ale nieubłagany zwierzchnikiem w czasie boju, będę więc wymagał bezwarunkowego posłuszeństwa i ścisłego wypełniania rozkazów. W bitwie zobaczycie mnie pierwszym, w odwrocie ostatnim. To jest tymczasem wszystko, co potrzebne do określenia naszego wzajemnego stosunku na przyszłość. Teraz przystąpimy do obioru dowódcy pierwszego podjazdu, który stosownie do woli króla, wyprawić muszę w stronę Kamieńca, podjazdy zaś takie, wyprawiane być muszą co tydzień, o tem także wiedzieć powinniście. Ponieważ na naradach wojskowych najmłodszy rangą ma głos pierwszy, niech więc Sadajtys nam powie, kogo uważa za najodpowiedniejszego do poprowadzenia oddziału wywiadowczego.

Stanąwszy w postawie frontowej Sadajtys, w te słowa się odezwał:

— Panie majorze, ja na podjazdach tyle się znam, co kura na pieprzu, w szeregu dostoję do końca i zeszlusować potrafię, kuli marnie nie wystrzelę, ale zresztą nic nie wiem.

Wszyscy uśmiechnęli się pobłaźliwie; następnie powstał wachmistrz Żubr, podniósł dłoń do

czoła salutując, drugą ręką podrapał się po za uchem, splunął, machnął potem dłonią i usiadł.

Na zapytanie Chrzanowskiego, dla czego nie nie powiedział, wyjąkał w końcu:

— Każe pan komendant jechać, to siodłam zaraz konia, ale proszę mi powiedzieć, gdzie i które rędy mam jechać, czy troczyć do konia i prowadzić, czy też ścinać na miejscu tych psubratów; a nie każe komendant jechać, to drugie dobrze, bo i tu dosyć roboty, a to mustra, a to warty, a to ostrzenie szabel, przygotowanie ładunków; rąk założyć za pas nie można.

Z kolei powstał Herman:

— Ja — oni recht mają — słuchać, rychtować to wir können, aber anderes to nie moja Sache, ja szekować panu komendant, co ja tu siedzieć, ale Herman to tylko strzelać na tych teufels potrafi, mehr nichts.

Po nim odezwał się Kazimierz:

— W dzisiejszem położeniu podjazd jest rzeczą ważną, potrzebuje doświadczenia, którego tylko długą praktyką się nabywa; podług mojego zatem zdania pan porucznik Trzeciak najlepiejby odpowiedział zadaniu i za nim głosuję.

Podniósł się Trzeciak:

— Niech pan komendant pozwoli i niech nie nie ma przeciwko temu, ja chętnie poszedłbym z podjazdem, ja boję się tu zacuchnąć, czuję potrzebę przewietrzenia się po świecie, bo tu i wypić niema z kim. Że nie stchórzę, może komendant być pewnym; że będę chciał wrócić, to nie ulega zaprzeczeniu; ale czy będę mógł, to już rzecz inna.

Herman mruknął pod nosem:

— Oho, bomlować to on umie!

Dobrze, że tego pomruku nie posłyszał Trzeciak, bo byłby zrobił zaraz awanturę z niemcem,

ale na szczęście Głębocki zaczął mówić poważnie:

— Napad Tatarów jest dopiero w przewidywaniu, wycieczka więc podjazdowa teraz nie jest tak niebezpieczną. Sposób jej prowadzenia przyswoić winni ci, którzy jej dotąd nie mieli w praktyce. O ile mi już wspominał pan Kazimierz, to dla niego dzisiejsza służba pierwsze pole, a tu jest okazja do eksperjencji, niechże więc uczy się podjazdowej służby i niech pan komendant go wyśle, dodając mu do pomocy wachmistrza Żubra, który posiada nabytą latami praktykę i potrafi być dobrym pomocnikiem w wykonaniu szczegółów wskazanych mu przez dowódcę podjazdu.

— Zgadłeś moje myśli, kapitanie—powiedział Chrzanowski—i zdanie twoje aprobuje zupełnie, spodziewając się, że wszyscy na nie się zgodzą prócz porucznika Trzeciaka, który nie będzie mógł się przewietrzyć.—Tu uśmiechnął się Chrzanowski.—A więc rada skończona. Panie Kazimierzu, weźmiesz 40 dragonów z wachmistrem i zaraz po zachodzie słońca wyjedziesz w kierunku Kamieńca w ten sposób, aby cię dzień jutrzejszy znalazł w odległości 4 do 5 mil za Trembowlą; wtenczas nikt nie będzie wiedział skąd i dokąd jedziecie. Do południa dasz wypoczynek ludziom i koniom; po południu wypytywać będzieś ludność miejscową i przejezdnych, a z zapadnięciem nocy rozdzielisz swoich ludzi na trzy części i wyślesz w trzy strony, wskazawszy im kierunek swego pochodu; za dwa dni polecisz im się zjechać w naznaczonem miejscu i w ten sposób dotrzecie pod sam Kamieniec. Zalecam baczność i szczerdzenie ludzi i koni—oto moje rozkazy. A teraz pójdźcie, towarzysze, napić się wódki i zakąsić czem Bóg dał, bo zapewne żona przygotowała nam coś do zalania robaka.

Herman pogłodził się po brzuchu.

— Pan pułkownik haben recht.

— Czego tam rechoczesz, niemcze? — powiedział półgłosem Żubr — widzę, że się śmiesz do sznapsa, jak pies do kija, i nie potrzeba ci przewracać tym pluderskim językiem.

Trzeciakowi rozjaśniło się pochmurne oblicze na wspomnienie wódki i kobiety i prawie cała godzina zeszła wesoło przy przekąsce, jaką podała im majorowa.

Podczas obiadu zapytała majorowa Kazimierza o rezultat narady.

— Wyjeżdżam wieczorem z podjazdem — odpowiedział — i zapewne kilkanaście dni przejdzie do powrotu.

— Pamiętaj, panie Kazimierzu, być ostrożnym i uważnym, bo rodzice twoi jeszczeby żal do mnie mieli, że się tobą źle opiekowałam.

— Jest to teraz rzecz dla mnie obojętna, pani Anno; proszę mi wierzyć, że dzisiaj życie nie wielki urok ma dla mnie, wszak sam prosiłem o to, by mnie naznaczono do Trembowli, przeczuwając, że tutaj łatwiej śmierć znaleźć przyjdzie i prędzej z nią się spotkać można, niż gdzieindziej.

— Dla czegoż prędzej? Odkądże to życie niema uroku dla Kazimierza? Wszakże wyrывałeś się zawsze do czynu — skądże to szukanie śmierci bez celu? — mówiła zdziwiona majorowa.

— Bo życie mnie samemu jest ciężarem, kiedy go podzielić nie mogę z tą, która wszyskiem jest dla mnie.

— Wszak ukochaną istotę znaleźć możesz, skoro zechcesz, Kazimierzu.

— Znalazłem ją i straciłem bezpowrotnie, odpowiedział smutno.

— Nie rozumiem cię — mówiła Anna — życie

twoje znam przecież dokładnie i nie słyszałam, aby istniała dla ciebie jakaś ukochana; więc gdzie ta strata, o której mówisz?

I ze zdziwieniem patrzyła na niego, a on spuściwszy oczy, nie nie odpowiedział, zwrócił się tylko do majora, wypytując go o różne rzeczy, mające związek z rzemiosłem żołnierza.

Wstawszy od stołu, pożegnał się z Chrzanowskimi, ręce jej ucałował z dziwną jakąś tkliwością i ze łzą w oku opuścił ich mieszkanie, mówiąc, że musi robić konieczne przygotowania do pochodu.

Z zapadnięciem zmroku dragoni dosiedli koni i oddział opuścił warownię, żegnany przez wszystkich.

Anna zawiesiła Kazimierzowi na szyi obrazek Matki Boskiej, a ten nie będąc w stanie słowa przemówić i dziękując gorączkowo, całował jej ręce.

IV. PODJAZDY I TATARZY.

Dziesięć dni zbiegło niepostrzeżenie. Przez ten czas z gorączkową czynnością bito studnię, sprowadzano żywność i furaz, poprawiano wały, zataczano armaty, przygotowywano belki i kamienie, aby je zrzucić z murów w czasie szturm na oblegających, urządzano kotły do wody, aby wrzątkiem zalewać ślepia Tatarom. Chrzanowski kazał murować cysternę (zbiornik na wodę) na wypadek, gdyby komunikacja z rzeczułką została przerwana, bo kucie studni w skale postępowało bardzo wolno.

Wrzało życie wśród murów; żołnierze ćwiczyli się w robieniu bronią, Herman wymierzał odległość sięgania strzałów armatnich, stud-

niarzę kuli, a Anna przy pomocy zebranych niewiast, dozorowała wypieku chleba i sucharów. Major zaś obiegał wszystkie kąty i był duszą wszystkiego.

Jedenastego dnia czata z baszty dała znać, że jakiś oddział zbliża się do twierdzy; ukazywały go zdaleka tumany kurzu. Chrzanowski pobiegł na mur od wschodniej strony, ale długo nie rozemnieć nie mógł; po chwili zdawało mu się, że to jego dragoni, ale liczba jeźdźców wydawała mu się większą, zauważył też kilka wozów otoczonych konnemi. Był to rzeczywiście oddział Kazimierza, który zbliżywszy się do twierdzy, został nareszcie poznany. Opadł most zwodzony i oddział wjechał do warowni. Na wozach leżało kilku rannych, przy koniach na smyczy prowadzono kilkunastu Tatarów.

Kazimierz, zsiadłszy z konia, powitał towarzyszy.

Tysiące pytań krzyżowało się bezładnie i tyleż odpowiedzi na nie, dopóki sprawozdanie nie przybrało charakteru raportu przed Chrzanowskim.

— Już pod samym Kamieńcem oddział nasz natknął się na czambulik tatarski, wynoszący kilkaset koni. Przyszło do starcia; na szczęście, że dragoni byli już wszyscy powrócili i byliśmy wszyscy zebrani. Broń palna odniosła zwycięstwo i umożliwiła odwrót bez strat znacznych. Ośmiu ludzi poniosło rany cięższe, tak, że nie mogli wracać konno, dlatego musiano ich przewieźć na wozach.

Anna zabrała zaraz rannych do urządzonego już przez nią szpitala.

W spotkaniu tem wachmistrz Żubr chwycił na arkan kilku Tatarów, innych ułowili żołnierze, jednym słowem przyprowadzono dziesięciu, aby ich wybadać mógł sam Chrzanowski, bo w drodze

dobrowolnie zeznawać nie chcieli, a wyciągać od nich odpowiedzi przymusowo, nie było czasu.

Chrzanowski kazał ich zamknąć w kazamatach, aby na drugi dzień wybadać i stosownie do ich zeznań, przesłać raport królowi, a tymczasem słuchał dalej opowiadania szczegółów wyprawy, dziękował Kazimierzowi za jego roztropność i pochwalił Żubra za dokładne wypełnienie poleceń i za pieczę nad ludźmi i końmi.

Chcąc wywnioskować, o czem królowi należałoby donieść, kazał sobie jeszcze raz opowiedzieć przebieg całej wyprawy.

Otóż, stosownie do instrukcji, Kazimierz rozdzielił oddział w Kopczyńcach: lewemu skrzydłu kazał iść na Husiatyn, środek poprowadził sam na Skalę, prawe zaś skrzydło wyprawił na Śniatyńce, a w Krzywczy nazначył punkt zborny wszystkim.

Czwartego dnia połączyli się w Melnicy, przeprawili przez Zbrucz i dopiero po tamtej stronie doszły ich wieści, że główne siły Tatarów Krymu pod Hadzi Gerejem będą się kierowały na Husiatyn, Tatarzy zaś Budziaku, pod Nuredynem i Gołą, mają ciągnąć od południa Kamieńca, około Czerniowic. Turcy prawdopodobnie nie przyjmą udziału, udając, że nie wiedzą o niczem.

To wszystko mówił Kazimierzowi kupiec Ormianin, jadący z Kamieńca, który dodał, że pomimo to, Turcy ściągają po cichu ogromne transporty amunicji i żywność.

Za Zbruczem spotkali około 500 Tatarów nogajskich i stoczyli z nimi utarczkę; ale widząc przemagające siły, przeprawili się pod osłoną nocy znów na tę stronę Zbrucza, schwyciwszy tylko przyprowadzonych jeńców.

Na opowiadaniu drobniejszych szczegółów zeszło do nocy.

Na drugi dzień, major, znając cokolwiek język tatarski, kazał przyprowadzić więźniów i zagroziwszy im przypiekaniem, dowiedział się, że horda Krymu wyszła w liczbie 30 tysięcy, a Nogajców i budziackich Tatarów będzie około 20 tysięcy, i że okolice Lwowa będą celem napaści.

Zapytani co do wojsk tureckich, stojących pod Kamieńcem, nie umieli nic powiedzieć.

Chrzanowski postanowił jednego Tatara, który mu się wydał najroztropniejszym, wysłać ze swemi ludźmi równocześnie z raportem do króla. Wybrał gońca i dwóch dragonów do pilnowania więźnia i ci zaraz na drugi dzień wyjechali.

W tydzień później major ordynował drugi podjazd w ilości stu koni pod dowództwem kapitana Głębockiego, a czeladź rozesłał po okolicy, aby uprzedzić mieszkańców o spodziewanym nпадzie Tatarów i dać im znać, że w murach twierdzy znajdują schronienie, jeżeli przywiozą z sobą żywność; wysłał także zawiadomienie do Jazłowca, zameczka niezbyt oddalonego, gdzie komendantem był jego znajomy. Tak rozporządziwszy się, resztę starań użył na ściągnięcie żywności i furażu, zakupując mąkę, kaszę, bydło, barany, słomę, owies i siano.

Bito więc woły, solono i suszono mięso, pieczono suchary, podwoiła się czynność, a gońcy ciągle wyjeżdżali i przybywali.

Kapitan Głębocki miał polecenie dotrzeć i zatrzymać się nad Zbruczem w okolicy Husiatyna, i dopiero po nadciągnięciu Tatarów cofać się przed nimi wolno, niszcząc za sobą wszelkie zapasy, z których oni mogliby korzystać.

To też codziennie odtąd ciągnęły wozy łądowne sprzętem, zbożem, z niewiastami i dziećmi na wierzchu, otoczone gromadami bydła i owiec, i znikwały w bramie warowni.

Podwórze pokrywało się namiotami i szopami, bo budowle wewnętrzne były już zapełnione ludźmi.

Anna otoczyła opieką swoją kobiety i dzieci, pośredniczyła i godziła swary, bez których obejść się nie mogło. Leczyła chorych skromnymi zasobami domowej apteczki, w jaką się zaopatrzyła we Lwowie. Zgromadzała kobiety do darcia szarpi, przysposabiała przewiązki oraz tapczany dla przyszłych rannych, szyła sienniki z płótna, zakupionego od przybyłych wieśniaczek.

Praca ta oddalała od niej nudy i wypełniała wszystkie godziny dnia, a dawała w zamian wdzięczność i szacunek tego prostego ludu, który wdzięcznym być umie.

Na podobnych zajęciach zeszły jeszcze trzy tygodnie, gdy znowu czata na bramie sygnalizowała przybycie wojska. Był to oddział Głębockiego, cofający się ku warowni; lecz poza nim widniały tumany pyłu i dymu.

Okrzyk — Tatarzy idą! wstrząsnął murami Trembowli, a potem rozległ się płacz kobiet i ryk bydła, które jakoby przeczuwało nieszczęście.

Wysłuchawszy raportu Głębockiego, Chrzanowski napisał list do króla, a mając już gotowe obliczenie ludności twierdzy i zapasów, donosił, że tylko do czterech tygodni będzie mógł wytrzymać obleżenie, gdyby Tatarzy otoczyli go dookoła. Zapewniał, że twierdzę uzbroił, o ile mógł, i zaręczał, że szturmem wziąć się nie da, ale prosił o odsiecz najdalej za miesiąc. Z tym listem wysłał gońca zaraz, a potem poszedł na wały, aby się przyjrzeć nadciągającej dziczy, podobnej do chmury szarańczy, tak mnogością jak i szumem, dochodzącym od posuwających się tłumów.

Było już po południu, gdy przednia straż

tatarska obskoczyła z trzech stron warownię, oglądając ją ciekawie; skoro jednak jaki oddział posunął się w obręb armat, Herman dobrze wycelowanym strzałem położył kilku trupem, reszta z wyciem, hałasując, usuwała się zdala, chmury strzał wypuściwszy do twierdzy padły one jednak bezsilne i nie trafiły nikogo.

Po za twierdzą, od strony południowej leżała niewielka wioska, mogąca służyć Tatarom za zasłonę od strzałów armatnich, Chrzanowski naradzał się przeto z Głębockim, czy ją spalić lub zostawić aż do chwili, kiedy trzeba będzie koniecznie to zrobić, gdyby wróg pod jej osłoną chciał się zbliżyć. Z narady wypadło, aby się wstrzymać ze spalaniem, przeciwnie, skorzystać z położenia, umieszczając w niej oddział dragonów, któryby w sposobnych chwilach mógł szarpać Tatarów na zewnątrz i we wsi znajdować ochronę, bo wieś znajdowała się w obrębie ognia działowego.

Głębocki odkomenderował zaraz oddział pod dowództwem Trzeciaka i dał rozkaz umocnienia krańcowych domów urządzając w nich strzelnice i zasieki. Furtka w kurtynie po tej stronie, to jest w części wału, znajdującej się między dwoma bastjonami, miała służyć jako łącznik z twierdzą, a w razie konieczności, po spaleniu wioski, dragoni mieli cofnąć się tą drogą, a to dla tego, aby nie otwierać głównej bramy, którą zabarykadowano zupełnie.

Trzeciak i Kazimierz mieli kolejno czuwać w wiosce i robić w stosownej chwili wycieczki z połową dragonów, gdy druga w pełnem uzbrojeniu miała czuwać, aby pierwszej, w razie potrzeby, nieść pomoc.

Noc zapadła, tysiączne ogniska zapłonęły dookoła; rzenie koni, ryk bydła, gwar tysięcznego

zbiorowiska ludzi, drżały i falowały w powietrzu rozgrzanem już majowym słońcem.

W warowni odezwał się dzwonek, zwołujący na modlitwę; przewodził jej paroch pobliskiej parafji, który schronił się tutaj i urządził coś w rodzaju kaplicy. Pod krzyżem oświeconym pochodniami, rozległa się pieśń: Pod Twoją obronę.

Chrzanowska do ciemnej nocy chodziła po wałach i przyglądała się nowemu dla siebie widokowi, chociaż drżała ze wzruszenia, i dopiero po powrocie do domu, uspokojona przez męża, przyszła do równowagi.

— Samusiu, oni nas polkną, gdy się razem na nas rzucą.

— Nie obawiaj się, Anno, nie tak to łatwo wejść na nasze mury; mamy armaty, muszkiety, haubice—to zrównoważy ich liczbę; Tatarzy, prócz dzid, łuków i kiścieni innej prawie broni nie mają. Oni są napastnikami—my obrońcami naszego życia. Dla nas straszne być może tylko długie obleżenie i brak żywności.

— A doniosłeś o tem królowi?

— Wszystko spełniłem, co należało do mnie, reszta w ręku Boga—odpowiedział Chrzanowski—śpij więc spokojnie i nie martw się, bo zmartwienie nie pomoże; za trzy lub cztery tygodnie będzie na to dość czasu, spotka nas wtenczas albo wielki smutek, albo wielka radość.

Wzajemny uścisk zakończył rozmowę; on tylko prosił o przebudzenie go za dwie godziny celem zlustrowania wart na wałach i rondów, chodzących w środku, chociaż wiedział, że Tatarzy, zmęczeni pochodem, nie porwą się zaraz do napadu.

Wschodzące słońce oświetliło malowniczy krajobraz. Warownia, otulona jeszcze w opary,

powstające z rzeki, prawie nie była widoczną. Znaczna przestrzeń pól pokryta była mrowiskiem ludzi, koni i bydła. Gdzieniegdzie wznosiły się namioty starszyny, a przed każdym buńczuk z końskim ogonem. Rozrzucone bezładnie kibitki, tlejące jeszcze ogniska, wlokące się po ziemi dymy, gromady koni, powiązanych za nogi do kołków, gromady bydła, spoczywającego po długim pochodzie, i ziemia, zasłana śpiąciami jeszcze Tatarami, wszystko to tworzyło obraz fantastyczny, ale nie bez uroku.

W parę godzin później bezładne dotąd tłumy były już zgrupowane, widocznie obóz porządkował się. Z kibitek wzniesiono wieżyczkę, z której muezin miał wzywać wiernych do modlitw. Obok był rozbity duży namiot Chana, z najprzedniejszego białego wołoku, który w dzień gorące nie przepuszczał palących promieni słońca, a podczas deszczu kropli wody, gdy zaś było zimno, nie pozwalał uchodzić ciepła wytwarzanemu z przepalonych węgli. ✕

Namiot ten był wytworem z sierści wielbłądziej, spłśnionej rękami kobiet lub niewolników, i zupełnie zaspakajający wymagania tatarskiego despoty.

Dzieci natury nieraz umiejętniej radzić sobie umieją, niż ludy ucywilizowane, a życie koczujące tych narodów nauczyło je pod tym względem wielkiej praktyczności bez ponoszenia kosztów, tak nieodzownych przy innej cywilizacji.

Wejście do namiotu zasłaniała purpurowa opona, obok trzy buńczuki zatknięte w ziemię, olbrzymi bęben, jakim dawano znak do pochodu lub postoju, i olbrzymi janczar z gołym jataganem, dopełniały tej wspaniałości, jaką zwykle otaczali się chanowie tatarscy.

Wielkość i kształt namiotu pozwalały się domyślać, że się składa z kilku przedziałów, a kręcenie się dokoła niego czarnych murzynów i stojące obok, szczelnie zakryte kibitki, były dowodem, że i harem jego chańskiej mości podróżował z nim razem.

Gdy słońce wskazało południe, na wieżyczkę wszedł mułła w olbrzymim zielonym zawoju, z siwą po pas brodą i niezadługo zabrzmiał w powietrzu monotonny śpiew wszystkich: *Il Allah resul Allah*.

W namiocie chańskim rozsunała się zasłona, niewolnik przyniósł dywanik, rozłożył go przed progiem i sam chan Hadzi Gerej ukazał się u wyjścia.

Był to człowiek średniego wzrostu, w sile wieku, z długą czarną brodą, sympatycznego wyrazu twarzy, ale w oczach jego przebijał się błysk źrenic azjatyckiego tygrysa. Stąpił na dywanik, a zrzućwszy złotem szyte pantofle, siadł na skrzyżowanych nogach i po obmyciu rąk i twarzy, zakrył ją dłońmi, modląc się w obliczu swoich poddanych.

Czy modlił się rzeczywiście, trudno odgadnąć, ale już samą formą dawał przykład czci dla Allaha.

Przed namiotem zebrani murzowie, agowie, bejowie i podrzędniejsi dowódcy, rozesłali także swe dywaniki i również na podwiniętych nogach pograżyli się w rozpamiętywaniu lub modlitwie. Zapewne w myśli ich przesuwwały się wspomnienia rodzinnego kraju, może rozpamiętywali przeszłość i myśleli o tem, że tu przeznaczone im jest położyć głowy

Każde oderwanie się myślą od rzeczywistości i wzniesienie jej nad zwykły poziom, nawet u dzikich narodów, jest chwilą uroczystą.

Po upływie mniej więcej godziny powstali wszyscy i weszli za chanem do jego namiotu, w którego głębi było urządzone wzniesienie z materaców i poduszek, powleczonych wschodnimi wzorzystymi haftami; na nich chan spoczął z zadowoleniem, jakby po ciężkiej pracy.

Podwładni posiadali na nogach zgiętych w półkole, niewolnicy podali każdemu długi cybuch z fajką, naładowaną wonnym tytuniem i czarnekę kawy czarnej i znów wszyscy pograżyli się w milczeniu, pijąc z namaszczeniem wonny napój i buchając kłębami dymu.

Po niejakiem czasie Hadżi Gerej zaczął.

— Przywołałem was, aby się naradzić, jak czynić dalej. Może dobrzeby było posłać do tych niewolników, aby bili czołem przed nami, czy też, nie pytając się ich, rzucić na wały hordeę i wysłać ich do piekła?

— Jak zrobić, ty wiesz, panie, najlepiej—odpowiedzieli wszyscy.

Jeden tylko sędziwy Bek-Ułan, wypuściwszy z ust kłęb dymu, spojrzał na chana, przyłożył rękę do serca i głowy, co oznaczało pokłon, i tak przemówił:

— Gwiazdo Proroków, oby ci Allah użytych długich dni wesela i spokoju dla szczęścia twych niewolników tutaj zebranych! Wiem, że serce twoje jest pełne miłości i łaski, wiemy, że każda wojna, przez ciebie podjęta, tylko chwałę Allaha i Mahometa ma na celu. Pałając zarówno jak i ty, lwie Proroka, chęcią zmuszenia do Islamu te przeklęte ludy Lechistanu, bądź przekonany, że wyteżymy wszystkie siły nasze ku temu celowi; chcielibyśmy cały ten kraj pokryć meczetami naszej wiary i wierzymy, że to się stanie, bo Allah, który jest samem miłosierdziem i w serce twoje, ozdobo Mekki i Medyny, wylał również balsam

swojej łaski nad zatwardziałemi niewolnikami chrześcijańskiemi. Ośmielam się więc sądzić, że ty, huraganie pustyni, wezwiesz ich najprzód do ukorzenia się przed naszą wiarą, zawartą w pokłonie Mahometowi, i dopiero, jeżeli będą tak głupi, że zechcą odrzucić słuszne nasze żądania, zetrzesz ich z oblicza ziemi.

Reszta zebranych pochyleniem głów aprobowała słowa Bek-Ullana.

Hadżi Gerej przymknął swoje tygrysie oczy— chwilę milczał, jakby rozważał usłyszane wyrazy, i po chwili odezwał się:

— Allah dał mi miłosierdzie, wezwiemy więc tych niewiernych do poddania się, pekii. Niechaj Hajdaj Aga, poprzedzony białą chorągwią, uda się do fortecy, przełoży dowódcy, że sprzeciwianie się chanowi Krymu do niczego nie doprowadzi. Jeżeli uderzą czołem przed chorągwią proroka, daruję im życie. Chcę iść naprzód i nie mogę zostawić ich za sobą. Gdyby zaś ci niewolnicy odrzucili moje warunki, pójdziecie zaraz do szturm, wdrzeć się na wały, jak wichry, i wytniecie bez miłosierdzia opornych, zachowując kobiety i dzieci, które z całym dobytkiem pójdą do podziału między was wszystkich. Murzowie i Agowie, udajcie się do waszych oddziałów, oznajmijcie moją wolę i przygotujcie wszystko do szturm. Oby Allah miał was w swojej opiece!

Po tych słowach podnieśli się wszyscy z siedzeń, pochylili przed chanem czoła, przykładając ręce do piersi i głowy, i opuścili namiot, którego zasłona zaraz opadła.

V. PROPOZYCJE I SZTURM.

W obozie zakipiało. Oddziały piesze i konne ustawiały się w szeregi i Hajdaj Aga w towarzystwie kilku jeźdźców, poprzedzony białą chorągwią, podjechał ku fortecy.

Z murów jej Chrzanowski widział i odgadywał wszystko, co się działo w obozie tatarskim. Zobaczywszy zbliżających się jeźdźców, kazał otworzyć furtkę obok bramy głównej i stanął w niej, oczekując parlamentarza, naprzeciw którego wyprawił dragona, aby mu wskazał drogę. Po chwili przed fosą stanął wysłannik tatarski, zsiadł z konia, spuścił się do rowu, a z niego wydobył się pod sklepienie furtki. Obok niej znajdował się rodzaj komnatki, w której Chrzanowski postanowił z nim rozmówić się, aby go nie wpuścić w obręb twierdzy. Na rozmowę tę zaprosił i Głębockiego, jako więcej obeznanego z językiem tatarskim.

Hajdaj Aga powitał ich przyłożeniem ręki do czoła i tak zaczął:

— Salam alejkum! Wszechpotężny Hadżi Gerej, władca Perekopu i Krymu, syn Padyszacha, Brat słońca, Pan księżycy, niewyczerpany w dobroci swojej, wzywa was dżanem Efendi do oddania mu waszej fortecy na łaskę i niełaskę. Powodem obecnej wyprawy naszej jest odemszczenie się za napady czapkinów kozaków na Krym i na ziemie Padyszacha, i zmuszenie was do oddania czci naszemu Prorokowi. Jeżeli poddacie się i przyjmiecie Islam, Pan mój, chan Krymu, daruje was wolnością i życiem na ziemi, a po śmierci obiecuje i zaręcza, iż dostaniecie się do raju Mahometa; gdybyście zaś nie przyjęli tych darów, płynących z wielkiego serca wyznawcy

Mahometa, oznajmiam wam zatracenie zupełne. Hordy nasze obecnie liczą trzydzieści tysięcy wyborowego wojska, a niezadługo przyłączą się do nas hordy Jedysanu i Budziaku. Czy możecie oprzeć się takiej sile? Oczekuję waszej odpowiedzi.

Chrzanowski z Głębockim zamienili spojrzenie, a Głębocki, gorętszy, zawołał:

— Ago, powiedz twojemu chanowi, że wiemy, iż nie o Allaha wam chodzi; Allah dla was i dla nas jest jeden, a Islam jest tylko pokrywką żądzy krwi i łupu waszej azjatyckiej rasy.

Niszczyć, burzyć i rabować, wprowadzać fałsz, zdradę i zepsucie społeczne, ten tylko cel macie razem z Padyszachem waszym. Korzystając z naszej chwilowej wewnętrznej rozterki, opanowaliście Kamieniec, kościoły nasze zamieniacie w meczety, budując prócz tego nowe, dla których zabraknie modlących się. Czyż wasza religja nie jest formą tylko? Modlicie się do Prooka w chwili powodzenia, a jeżeli on nie spełni waszych życzeń, przeklinacie go najohydniejszymi wyrazami.

Chrzanowski zaś dodał:

— Wracaj Ago i powiedz twemu chanowi, niech łaski swoje zachowa dla Azji, stamtąd pochodzicie, tam wasza ojczyzna. W Europie osiedliliście się dzięki przemocy mas, zgneźbiliście nas chwilowo; ale przyjdzie czas, że będziecie musieli cofać się za naturalną granicę cywilizacji Zachodu.

— Powiedz chanowi, że tylko siłą owładnąć może Trembowłą, ale niech wie o tem, że opanuje tylko gruzy i zawładnie tylko trupami. Umykaj więc, Ago, pókiś cały, broni cię tylko charakter posła, bo za podobną odezwę do nas, wart jesteś, aby głowa twoja sterczała już na murach Trembowli.

Tatar błysnął wściekle krzywemi ślepiami, pohamował się tylko i mruczając: pezewenki, czapkiny, już bez «Salam Alejkum», rzucił się ku wyjściu.

Furtka zatrzasnęła się za nim z łoskotem i gromadka Tatarów, pędząc nahajkami konie, cwałem poniosła się ku obozowi.

Chrzanowski udał się na wały wydać ostatnie rozkazy, a Trzeciakowi polecił w chwili szturm, z całym oddziałem dragonów uderzyć od strony wioski z boku na Tatarów, aby rozdzielić siły wroga.

Niespełna w godzinę, z obozu tatarskiego wyszły pieszce zastępy i z okrzykiem Allah, Ekber Allah, Bismiallah, runęły ku warowni. Pierwsze szeregi niosły pęki faszyny, aby niemi zarzucić fosę, następnie drabiny, a po za niemi idący wyrzucali chmury strzał, które zaćmiewały słońce.

Herman przypuściwszy ich na odległość strzału, pluł im gradem żelaza w ślepie. Lecz pomimo że szcerbił ich szeregi, nie powstrzymał mas. Żywi stawali w miejscu umarłych i pomimo, że padali znów jak snopy, od kul muskietów dragonji, stojącej na wałach, dotarli do fosy, napełniając ją faszyną.

Chrzanowski posuwał wszystkich na wały, wiedząc, że każdy pierwszy szturm, bywa najzacieklejszy. Zapalono ognie pod kotłami i kiedy zawrzała woda, kobiety zaczęły ją lać na głowy wdzierających się po drabinach Tatarów, a ci, wyjąc z bólu, walili się z drabin. Muskiety pracowały bez przerwy, ale pomimo to, od strzał wyrzuconych przez Tatarów nad fosą stojących, zaczęli padać zabici i ranni na wałach.

Drugi oddział kobiet miał za zadanie uprzątać trupy i rannych, których przenoszono zaraz do szpitala pod opiekę majorowej, przewiązywa-

no im rany, wyjmując utkwione strzały. Ksiądz spowiadał konających i rozgrzeszał z grzechów żywota.

W czasie najgorętszej walki, Chrzanowski zauważył chwilę wahania się pomiędzy szturmującymi ordyńcami. Rozpatrując się po polu, zobaczył, że to dragoni Trzeciaka uderzyli na jazdę tatarską z prawej strony.

Nieliczny ten oddziałek zelektryzował jednak Tatarów i zwolnił zaciekleść szturmu.

Chrzanowski był sobie wdzięczny za myśl pozostawienia go za murami twierdzy.

O rezultat szturmu był spokojny; pierwsza próba dała mu poznać własne siły i teraz znów zaczął żałować, że może niepotrzebnie tych kilkudziesięciu ludzi wydał na śmierć pewną, gdy zobaczył masy jazdy tatarskiej, która się na nich rzuciła, kiedy z boku szarpali szturmujące kolumny. Pobiegł do Hermana i polecił mu skierować w tę stronę kilka dalekonośnych haubic, chcąc kulami sparaliżować uderzenie tatarskiej konnicy na dragonów. Herman zrozumiał położenie, a znając dokładnie odległość każdego punktu dookoła fortecy, tak pokierował strzałami, że jazda tatarska nie mogła uderzyć na dragonów, którzy cięli bez miłosierdzia tatarskie piesze zastępy.

To wszystko razem wzięte, rozerwało uwagę dowódców tatarskich, osłabiło nacisk na mury i oprzytomniło ich obrońców, zaczynających już tracić zimną krew, gdy widzieli te nieprzeliczone tłumy, rwące się do środka.

Ku wieczorowi, napór słabł coraz więcej z jednej strony, a odwaga rosła z drugiej.

Chan widząc, że dzisiaj twierdzy nie zdobędzie, kazał uderzyć w bęben «na odwrót.»

Teraz hordy, mające dotąd z murami do czynienia, zwróciły się przeciw dragonom, chcąc ich

odciąć od wioski. Ale Herman wyorał między niemi taką granicę kulami, że trudno ją było przekroczyć, a i Trzeciak odpowiednio urządzał odwrót, również strzałami z muszkietów opędzając się zażartym tłumom.

Stracił jednak w zabitych i rannych kilkunastu ludzi.

Tatarzy, przekonawszy się o istnieniu dragonów po za murami twierdzy, zaraz zaczęli szanćcami otaczać swój obóz, na co ze smutkiem patrzył Chrzanowski, przewidując dłuższe obleżenie.

Gdy ten pierwszy bój był skończony, dzwonek wezwał na modlitwę dziękczynną. Paroch odśpiewał: Ciebie Boga chwalimy, po którym znowu odezwał się śpiew zbiorowy: Pod Twoją Obronę.

Po modlitwie i wieczery wszyscy, strudzeni, udali się na spoczynek.

Chrzanowski kazał pozbierać ciała poległych, sprawdził i zanotował nazwiska i cichaczem pochować kazał w jednym rogu warowni, aby widokiem trupów nie odbierać odwagi żyjącym.

Tę pierwszą wspólną mogiłę poświęcił paroch, a ciche «Salve Regina» powtarzały słowa nielicznej gromadki, przeznaczonej do ceremonji pogrzebu.

Dopiero po zasypaniu mogiły, Chrzanowski udał się na kwaterę, aby posilić ciało strudzone pracą dnia całego.

Anny nie zastał w domu, dopiero później powróciła z lazaretu. Spłakana i rozgorączkowana rzuciła się w objęcia męża, jakby w tych ramionach szukała ocalenia przed widmem jutra.

Major poważnemi słowy uspokajał stroskaną kobietę, mówiąc jej.

— Wszak to początek dopiero, zobaczysz jeszcze wiele złego i powoli przywykniesz do widoku ran i śmierci; daj Boże, abyś tylko nie widziała głodu.

— To straszne, straszne!—bezwiednie powtarzała Anna i dopiero na przypomnienie majora, że jest bardzo głodny, oprzytomniała przy zajęciu około podania mu posiłku i przysłała do siebie.

Nadszedł też i Trzeciak, zluzowany przez Kazimierza; opowiedział swoje natarcie z dragonami, opisał drobiazgowo przebieg tej walki i dziękował za pomoc artylerji, nie tając, że inaczej nie byłby wyszedł tak obronną ręką, kiedy tatarska piechota i jazda uderzyły razem na garść jego żołnierzy.

Chrzanowski siadł jeszcze, aby zdać raport do króla, opisując mu ten szturm pierwszy, i polecił Głębockiemu wysłać takowy zaraz jeszcze nocą do Podhajec, skąd miano wyprowadzić go dalej.

Rozeszli się już późno, bo major sam jeszcze wyprowadził sekretne patrole pod obóz tatarski, aby go mogły ostrzedz, gdyby Tatarzy zamierzali przypuścić szturm w nocy, bo i tego można się było spodziewać.

Drugiego dnia obóz Tatarów pogrążony był w cichości, tylko nawoływania muezina rano, w południe i przed wieczorem, które słychać było w fortocy, przerywały względną ciszę.

Korzystając z tego, część załogi wyszła za mury, aby spalić faszyne, naniesioną do fos, i wyrzucić trupy tatarskie, które tak blisko leżąc, mogły zarazić powietrze.

Narachowano ich do tysiąca, oprócz tych, które leżały już po za obrębem strzałów, a które uprzętnęli Tatarzy.

Major obchodził i oglądał wały, zarządził reparacje potrzebne, dziękował załodze i wieśnia-

kom za okazane męstwo, a Hermanowi za dobry rezultat armatniego ognia, ale zarazem zalecił wielką oszczędność prochu i kul, szczególnie tych ostatnich, i polecił przygotowanie kamiennych.

Herman był w wybornym humorze i podśpiewywał sobie: «Ach du lieber Augustin,» a podkomendni śmiali się z niego i pytali, czego pan Herman rechocze; ale wypełniali ściśle jego rozkazy i wskazówki, bo go lubili; to cieszyło znów Chrzanowskiego, gdy widział taką harmonję i posłuch.

Następnie major poszedł do lazaretu; tam pocieszał ciężko rannych, żartował z pokaleczonymi, a widząc znów ład, porządek i opiekę, dziękował Annie za jej pracę i poświęcenie.

Obóz tatarski, pomimo rzekomego spokoju, wrzał jednakże życiem; jedne oddziały wychodziły, drugie przychodziły, gońce biegli w różne strony. Chan, wściekły z gniewu, kazał ściąć kilku agów i nie pokazywał swego oblicza. Zasłona przy wyjściu nie podniosła się przez dzień cały, z haremu słyhać było płacz niewieści, służba kręciła się jak w ukropie.

Nad wieczorem dopiero wezwano Bek-Ułana przed oblicze władcy; oprócz niego nikogo już nie wpuszczono.

Hadzi Gerej siedział na sofie, w palcach przesuwając ziarna paciorków i pochmurnie wejrzał na wchodzącego.

Murza przyłożywszy rękę do czoła i piersi, na wezwanie Gereja usiadł poważnie na sofie z lewej strony, skrzyżowawszy nogi pod siebie.

Gerej klasnął w dłonie.

Było to hasłem do podania kawy i fajki, które bezwłocznie wniósł czarny niewolnik.

— Chosz Gołdy—gardłowo przemówił chan.

— Safed goldy, odpowiedział Ułlan.

— Szturm nasz odparto.

— Nie było woli Allaha; giaury bronili się zajadle, była chwila, że już, już horda wdrzeć się miała na wały, gdy uderzenie ich jazdy sparałizowało wszystko. Oby ich piekło pochłoneło!

— Dlaczego nie wiedzieliście, że oni mają tych szejtanów dragonów?

— Ty wiesz, panie, nie było woli Allaha.

— Powiedz mi, Ułlanie, czy jazda ich wyszła z fortecy, czy też nadbiegła z okolicy i spadła nam na kark? Wprawdzie widziałem tylko garstkę, może to przednia straż hord ich sułtana.

— Ty wiesz, panie, ja zobaczyłem ich dopiero, gdy się pojawili, uderzyli jak piorun i jak chmura potem znikli w tej wiosce, w pobliżu wałów; stąd wnoszę, że muszą stanowić część wojska znajdującego się w fortecy.

— Tak, zapewne—odpowiedział chan—bo o ile wiem, to sułtan Lechistanu, ten lew Rzymu, jest w okolicach Lwowa i zbiera dopiero swoje hordy.

— Jak duże straty ponieśliśmy?

— Z hordy do tysiąca poszło do raju Mahometa, a z niemi bejowie: Achmud, Sefir, Sach-saj, Jałas i agowie: Soliman, Hali, Gałga, reszta zaś czeka twoich rozkazów, panie.

— Tak, oprócz tych, których ściąć kazałem—wymówił ze znaczeniem Gerej.—Przedewszystkiem polecam ci wysledzić stanowisko jazdy giaurów i liczbę takowej, wysyłać zagony po żywność i łupy, zanim nadciągną hordy Jedysanu i Budzianku; lepiej, że my zdobycz weźmiemy. Gdyby w ciągu 3 dni nie nadszedł Nuredyn, spróbujemy drugiego szturm, mnie pilno naprzód.

— Wola twoja, Gwiazdo Proroka—odpowiedział Ułlan i ucałowawszy kraj szaty chana, wycofał się tyłem z namiotu.

VI. DRUGI SZTURM.

W warowni wśród ludności był smutek; skupieni gromadkami, opowiadali sobie przebieg walki, płakali po poległych, bo chociaż wieśniacy nie przyjmowali dotąd wielkiego udziału w walce na murach, jednakże kilku z nich poległo od strzał tatarskich. Kobiety przesadzały się w opisywaniu potwornych twarzy Tatarów i drżały na myśl, że mogą wpaść w ich ręce; zresztą nie ważniejszego nie zaszło; żołnierstwo pełniło swą służbę, rychtowało samopasy, muszkiety, artylerzyści czyścili armaty, przysposabiali do nich kule kamienne, jakich użyć miano z rozkazu Chrzanowskiego, a przy pracy tej śmiano się i żartowano nawet dosyć wesoło.

Herman, szczęśliwy z pochwały komendanta, zaprosił do siebie na szklanekę miodu swego pomocnika, Łaszkę, który nie brał udziału w boju, fasując tylko w cekhauzie proch i kule, i opowiadał mu łamanym swoim językiem:

— Bruder—ja patrzał, stoi Turek na koniu i macha psim ogonem, ja o ten Turek z dużą, czarną brodą, domyślił się, co on nie gemein, skoczył do mojej Kätchen, ty rozumiesz, do moja armata na trzeci bastjon i narichtowała; ja mówię:—dobrze moja Kätchen i fajer; patrzę, a tu głowa Turka leci do obozu, a on pac na erde, pół konia też poleciał do obozu, a pół zostać z Turek; jak to była śmieszna! O, moja Kätchen, to jest armata, ona słucha, co ja chcę, nie tak, jak ta kochana Kätchen, moja Frau, co nie chce słuchać choć ją nabijam czasem.

— Widzisz go! nabijam, nabijam, odezwała się Hermanowa—dałabym ci, ty pludro niemiec-ka, idź do tej drugiej Kätchen, niech ci da teraz

miodu, zobaczysz, która lepsza. Nabija, nabijam! widzisz go! on gada o nabijaniu, ja ci pokażę, jak to się nabija.

— Cicho, cicho, moja najdroższa Kätchen, mówił uśmiechnięty Herman, jaby was oba nie chciał stracić, i jedna i druga potrzebna dla Hermana—i uściskał swoją małżonkę.

Chociaż Chrzanowski był przygotowany na to, że siły Tatarów powiększą się hordami Budziaku, bał się jednak zupełnego otoczenia warowni od zachodu, gdyż w ten sposób byłby zupełnie odcięty od świata i pozbawiony dowozu pożywienia, które z za rzeczki ściągał jeszcze z nieogarniętego przez Tatarów kraju.

Obawy swoje zakomunikował podwładnym sobie oficerom. Kazimierz zaproponował usypianie szańczyka naprzeciw twierdzy na drugim brzegu rzeczki i ofiarował się siedzieć w nim z kilkudziesięciu ludźmi, ale zdanie to odrzucili wszyscy, z uwagi, że takie rozdzielenie sił osłabiłoby bardzo załogę Trembowli, która, jak już próba wykazała przy pierwszym szturmie, zaledwie wystarczała do obsadzenia murów.

Czwartego dnia w obozie tatarskim zawrzało i zakipiało. Przed szańcami zaczęły się szykować kolumny, które po chwili w tymże samym porządku jak pierwiej, rzuciły się ku warowni. Prowadzili takowe przedniejsi bejowie i agowie.

W namiocie chana rozsunięto zasłonę.

Chan wyszedł, zasiadł na przygotowanym wezglówiu i patrzył na rozwijającą się walkę. Hufiec przybocznej jazdy był przeznaczony do odparcia dragonów, gdyby uderzyć mieli z boku jak poprzednio.

Okrzyki Allah, Bismi Allah! wstrząsnęły powietrzem, i Tatarzy, nie powstrzymani salwami artylerji, której kule ryły brózdę w ich tłumach,

stanęli znów nad fosą, zarzucili ją znów przygotowaną faszyną i przystawiwszy drabiny, leżeli jak przedtem na mury.

Chrzanowski w lekkim pancerzu i misiurce, z szablą w ręku obchodził blanki i narożniki, a gdzie tylko głowa tatarska wychyliła się po nad mur, zjawiał się jak anioł śmierci i w mgnieniu oka, gdyby kosą ścięte głowy spadały z tułowiów, które znowu waliły się na idących po drabinach od dołu.

Gdzieindziej żołnierze chwyтали końce drabin, odrzucali takowe od murów i z nich, jak gruszki z drzewa, leciały pół nagie postacie z jataganami w zębach, lub też drabiny wciągano na mury i pałaszami oczyszczano z Tatarów.

Zabawa ta była jednak dość niebezpieczna, bo szeregi tatarskie z dołu zasypywały strzałami wychylonych po nad mur, trup więc padał gęsto.

Artylerja Hermana przestała działać; strzały jej, które tylko opodał stojących miażdżyć mogły, były teraz bezsilne wobec tego mrowia tatarstwa. Muszkiety za to pluły ołowiem bezustannie, ale już i lufy zaczęły parzyć ręce dragonów od gęstych wystrzałów, co dla samych żołnierzy mogło być niebezpieczne.

Głębocki wołał o wrzącą wodę, aby zalewać ślepie tej szarańczy, która coraz gęściej wychylała się nad mury.

W paru miejscach przyszło do ręcznego ścierania się na szable, bo po kilkudziesięciu Tatarów wrywało się już do środka; a ponieważ wiedzieli, że dla nich odwrotu swobodnego niema, drogo sprzedawali życie.

Widząc, że napór nie słabnie, Chrzanowski posłał rozkaz Kazimierzowi, będącemu dziś na służbie w wiosce, aby z całym oddziałem dragonów uderzył na Tatarów, nie przeczuwając, że

taranowi temu Gerej przeciwstawi swoją jazdę przyboczną, rzeczywiście wyborową.

Oddział jazdy chańskiej liczył do 1,000 koni i bez wątpienia wyciąłby tę garstkę dragonów, gdyby poszła do szarży; ale doświadczony wachmistrz, Zubr, doradził zatrzymać się nagle, sformować pieszo w czworobok i lunąć ogniem z muszkietów, co też i zrobiono, a to tak zmieszało ordynców, że złamali swe linje. Wtenczas dopiero dragoni, już konno, pałaszami wrąbali się w ich środek i cięli bez pamięci zdumionych. Tem wrąbaniem się rozdzielili jazdę tatarską na dwie połowy; lecz ta oprzytomniawszy, znowu złączyła swe skrzydła i jakby pierścieniem otoczyła mały oddział.

A pierścień ten zaciskał się coraz bardziej.

Kazimierz zrozumiał, że żywym stąd nie wyjdzie; nie zląkł się jednak widma śmierci, wszak szukał jej, ale postanowił drogo sprzedać życie swoje i towarzyszków.

Sformował z dragonów klin, z środka którego grad kul sypał się na jeźdźców tatarskich, a przednie szeregi wyrąbywały się z pośród tłumów i już wolno cofały się do wioski, jak dzik, niosący na sobie całe sfory gończych.

Jazda tatarska, jak zgraja szatanów, wirowała w około, rzucając dziuryty, włócznie i strzały, od których coraz częściej zsuwali się z koni dragoni.

Klin szczupłał i zmniejszał się, ramiona słabły od cięcia, wyczerpywały się naboje, ale i zbliżano się do wioski; gdy naraz tatarska jazda zerwała swe koło i zaczęła się wyciągać w szeregi, zostawiając otwartą lukę, w którą Kazimierz, chociaż już kilka razy ranny, rzucił się z całym oddziałem.

To Trzeciak, widząc rozpaczliwe położenie

Kazimierza, wyprosił u Chrzanowskiego jeszcze kilkudziesięciu dragonów, wypadł z nimi furtką od strony wsi i rzucił jeździe tatarskiej salwę z muszkietów. Ta, zobaczywszy nowy oddział, rozerwała pierścień, aby w szyku uderzyć na przybyłych. Tym atakiem Trzeciak ocalił resztę oddziału Kazimierza.

Po wydobyciu się jego z pierścienia, Herman kilkunastu wystrzałami dokonał reszty i dragoni mogli się schronić za zasieki, stodoły i chaty.

Tatarzy jednak zdążyli zapalić budynki od pola stojące.

Pożar ugaszono wprawdzie, ale tylko połowa dragonów wyszła żywym z tej imprezy, a z tej połowy jeszcze połowa była mocno poraniona, najwięcej zaś Kazimierz, który już we wsi w omdleniu zsunął się z konia. Mając kilka cięć przez głowę i kilka strzał tkwiących w ciele, kwalifikował się tylko do szpitala, jeżeli nie do trumny.

Tymczasem dokoła twierdzy, w fosach i na murach walka trwała ciągle, choć miało się już z południa; Tatarzy jednak stracili pierwszy zapal wściekłości, darli się na mury, że tak powiem, z uporem dziecka, sięgającego po niepochwytą dla niego zabawkę.

Bodźcem ku temu był bat, którym uzbrojona straż przyboczna chana cięła bez miłosierdzia z tyłu cofające się szeregi, a te nawzajem popychały pierwsze.

Bat ten, o krótkiej rękojeści, upleciony z byczej skóry, z ołowianą kulką na końcu lub też z haczykiem, który wyrывał ciało, przyniesiony był z głębi Azji jeszcze za czasów napadu hord Czyngischana, i Batego, i pozostał u Tatarów w tym samym charakterze, w jakim został wynaleziony i używany. Razy jego mówiły więcej, niż słowa, niż cięcia szabel i klucie kindżałów.

Hordy w ten sposób pędzone, ponuro przyjmowały ciosy i szły naprzód, a obrońcom warowni mdlały już ramiona; Chrzanowski zaczął tracić nadzieję, czy potrafi obronić twierdzę.

Pancerz jego najeżony był strzałami i pogięty od uderzeń jataganów i kiścieni, t. j. kości goleniowych końskich, w które uzbrojona była prawie połowa tatarskich tłumów, a które używane były na podobieństwo maczugi.

Kobiety niosące wodę i kamienie, unoszące rannych, odciągające zabitych, traciły siły. Majorowej zabrakło już szarpi i przewiązek, wszystkich ogarnęło zwątpienie.

Na szczęście i siły szturmujących wyczerpywały się również, bat już nie robił wrażenia, hordy zaczęły się cofać.

Chan darł brodę przed swoim namiotem, kłął czem mógł i swoich i nieprzyjaciół, a razem z nimi Proroka. Pezewenki! czapkiny! psy niewierne! eblisy! wylatywało mu z zaciśniętych zębów, z oplutej brody.

Lecz musiał się godzić z przeznaczeniem.

Ciężkim był ten dzień dla obrońców. Trembowli, bolesnem obliczenie strat: ubyłą czwartą część obrońców w zabitych i czwarta część w rannych. Chrzanowski przeczuwał, że trzeciego takiego szturm nie wytrzyma.

Pochowanie zabitych nie mogło się już odbyć w cichości; płacz i jęk rozległy się w podwórzach, gdyż z rozkazu Chrzanowskiego wielu z okolicznego ludu, zamkniętego w warowni, musiało już przyjąć udział w walce, a wódz przeczuwał, że w przyszłości wszystkich zmusi do tego.

Dopiero nad ranem zdołał uwolnić się od obowiązków dowódcy i z sił zupełnie wyczerpany, bez pożywienia, rzucił się nierozzebrany na materac na ziemi.

Anna tylko nie straciła energii i do samego wschodu słońca trudziła się w lazarecie; bo też tam była praca nielada!

Na drugi dzień Chrzanowski wyprawił raport do króla przez jednego z wieśniaków. W raporcie tym skreślił drobiazgowo bitwę i drugi szturm i żądał już śpiesznej pomocy, kończąc słowami: Królu ratuj!

Potem przez jednego z jeńców zaproponował chanowi wspólne usunięcie ciał poległych Tatarów, gdyż gnijące trupy zagrażały tak samo i obozowi tatarskiemu.

W parę godzin goniec przyniósł mu wieść o zgodzeniu się na to chana. Jakoż kilka oddziałów tatarskich wyszło bez broni z obozu i kilkudziesięciu ludzi z warowni, aby oczyścić fosy z trupów, które literalnie zakrywały ziemię.

Straty Tatarów były bardzo znaczne, oceniono je blisko na dwa tysiące, a prawie wszystko legło od kul armatnich i muszkietowych. Powinno to było przekonać Tatarów o przewadze broni palnej, której zupełnie nie posiadali, a bez której trudno było walczyć.

Znów zeszedł tydzień na przysposobieniu się do nowej walki. Niektórzy z rannych podnosili się już z tapczanów, Kazimierz tylko walczył ze śmiercią, bo rany jego były ciężkie, lecz i wielka piecza Anny była nad nim; mającyl w gorączce, wołał ją do zabaw, jak wtenczas, gdy dziećmi byli. Ale słowa miłości nie wyrывały mu się na usta, tak silnie wola zaparła je w głąb duszy. X

VII. PRZYBYCIE NOGAJCÓW.

Jednego dnia czata na baszcie dała znać o zbliżaniu się wojska od strony południa.

Chrzanowski domyślił się przyjścia hord

z Budziaku i przeczuł, że to śmierć nadchodzi, ale obawę tę zamknął w sobie.

Rzeczywiście byli to Tatarzy od ujść Bohu, Dniestru, Prutu i Dunaju, idący prawym brzegiem Seretu, którzy mieli odciąć Trembowłę zupełnie od łączności z północo-zachodem i stawali na drodze, jakaby mogły przyjść wojska Rzeczypospolitej.

Teraz major oddałby pół życia swojego za to, żeby żona była w bezpiecznem miejscu, a nie z nim razem. Nie widział jednak punktu wyjścia; jedna tylko odsiecz ocalić ich mogła.

Przypomniął sobie, co mu król powiedział, że Trembowla ma za zadanie powstrzymać najście Tatarów do chwili przygotowania się króla. Nawet jej zdobycie nie byłoby tak wielką stratą dla Rzeczypospolitej, która utraciła daleko ważniejszy Kamieniec, a przecież egzystowała jak dawniej; był to poprostu pionek na szachownicy wojennej wysunięty naprzód.

Po takich wysiłkach czując, że dalsza obrona będzie bezowocną, zaczęło go ogarniać zniechęcenie. Jako żołnierz wiedział, że spełnia obowiązek, ale jako człowiek czuł, że i obowiązek ma swoje granice, po za którymi są jeszcze potrzeby serca. A tem właśnie była jego miłość dla żony; ona była prawie na równi z obowiązkiem, a kto wie, czy nie stawiał jej i wyżej.

Nie umiał sobie na to odpowiedzieć i to właśnie męczyło go niewypowiedzianie.

Widzieć żonę łupem Tatarów równało się śmierci, było nawet gorsze niż śmierć sama.

Ha... mówił do siebie — chyba zginąć razem. W tem widział punkt wyjścia, ale jakże to było straszne!

Do czasu poznania Anny życie swoje tylokrotnie wystawiał na niebezpieczeństwo tyle razy

widział śmierć dokoła siebie, a nigdy nie zrobiła na nim wrażenia. Ożeniwszy się, inaczej zupełnie patrzył na świat Boży. Pragnął teraz żyć dla żony, dla przyszłości.

Takiemi myślami trapiiony, patrzył prawie bezwiednie, jak naprzeciwno warowni, po za rzeczką, rozlokowywały się nowe tłumy dziczy. Oprzytomniawszy cokolwiek, zaczął obliczać ich liczbę i przyszedł do przekonania, że było ich do dziesięciu tysięcy.

Zauważył później, że dość liczny oddział szuka przeprawy przez Seret i domyślił się, że Nuredyn Gałga, wódz Tatarów Budziackich, jedzie zobaczyć się z Hadżi Gerejem, aby porozumieć się co do wspólnego działania.

Nie omylił się, gdyż oddział odszukawszy bród, skierował się do obozu Krymców.

Chrzanowski skierował perspektywę i zobaczył, jak Hadżi Gerej przed swoim namiotem witał Nuredyna i razem z nim zniknął za oponą. Po niedługiej chwili rozbiegli się czausowie i zaraz potem murzowie, bejowie i agi zaczęli się schodzić na dywan (rada). Wynikiem jej musiał być upadek Trembowli, wiedział o tem dobrze, ale chciał przewidzieć, czy uradzą znów szturm, czy też oblężenie.

Szturm byłby lepszy, bo śmierć prędsza, konanie zaś z głodu byłoby straszne. To go przyprawiało o rozpacz i w takim stanie znalazła go Anna, której dano znać o nowym wrogu i która szukała męża, aby przy jego piersi uspokoić swoje obawy.

Chrzanowski bez słów wskazał jej przybyłe hordy i milczał. Ona zrozumiała stan jego ducha i na giest jego odpowiedziała krótkim słowem.

— A Bóg? A król?

— Bóg wysoko, a król daleko — Anno.

— Samuelu! nie upadaj na duchu, bo wtenczas któż mnie podtrzyma?

— Powiedziałaś Anno, że Bóg. Ja, jako człowiek, już w swoje siły zwątpilem; o! czemu nie odesłałem cię do rodziców? Nie upadałbym na duchu teraz, bo nie drżałbym o ciebie. Jesteś mi droższą nad wszystko i dzisiaj nie wiem, co bym wybrał, czy sławę bez ciebie, czy też hańbę z tobą; ale coś w głębi mówi mi, że to ostatnie. Miłość moja dla ciebie jest dzisiaj moją religją, moją ojczyzną.

Anna słuchała w milczeniu tych słów padających głucho z ust majora, łza za łzą wysuwała się z jej oczu. Teraz dopiero zrozumiała tę miłość męża dla siebie. Ręką zasłoniła mu usta i szeptem prawie zapytała.

— A jakąż będzie miłość twoja dla naszego dziecięcia?

Major w szalonym wybuchu szczęścia porwał ją w swe ramiona i przyciskał do piersi, a potem odsunął ją lekko i cicho wymówił.

— Boże, ja zwaruję — ratuj! — i ogarnąwszy niewypowiedzianem spojrzeniem żonę, zbiegł z wałów.

Trzeba mu było dowiedzieć się, co postanowił Gerej, to było jak na teraz dla niego konieczne. W twierdzy pomiędzy jeńcami miał dwóch Tatarów, ojca i syna. Kazał więc przyprowadzić sobie obu i zrobił im propozycję, że chce posłać jednego z nich, aby mu przyniósł pożądaną wiadomość, zagroziwszy, że drugiego na pal wbić każe, jeżeli pierwszy nie wróci. Skoro zaś powiedzą mu to, o czem chce wiedzieć, obydwóch puści wolno.

Syn przyjął z radością misję, zaprzysięgłszy na Allaha, że wróci na drugi dzień; major kazał więc spuścić go z muru wieczorem.

Nad ranem dowódca patrolu zapukał do okna mieszkania komendanta.

Chrzanowski zerwał się z posłania, a przyprowadzony Tatar odpowiedział na pytanie Chrzanowskiego jednym wyrazem, a tym było... oblężenie.

Tatarów puszczono na wolność.

Następnego dnia nic nie zwiastowało jakichkolwiek przygotowań w obozach tatarskich, oprócz rozjeżdżania konnych oddziałów dokoła twierdzy i wysyłania liczniejszych w okolice. Widziało tylko z murów, jak Hadzi Gerej jeździł do Nuredyna Gałgi, zapewne oddając mu wizytę.

Obóz Nuredyna różnił się wielce od obozu Tatarów krymskich: w pierwszym widać było jakąś zamożność, tutaj wszystko nosiło cechę ubóstwa, braku, dorywczości. Schronienie Nuredyna tworzył szałas płótnem tylko nakryty; nie było widać ani buńczuków, ani strojnej straży, ani bębna.

Nuredyn, kiedy mu doniesiono o przybyciu Gereja, wyskoczył z pod płótna; zbliżył się do konia chana i wodząc ręką od piersi do czoła, a potem od czoła do piersi, przytrzymał strzemień chana i pochylił się, aby mu służyć za podporę przy zejściu na ziemię.

Następnie klasnął w ręce i wtedy, jakby z pod ziemi wyskoczyło dwóch obdartych niewolników, z których jeden uchylił płótna namiotu, a drugi odebrał konia, pomimo, że Gerej przyjechał z oddziałem swej jazdy przybocznej.

Wszystko to odbyło się w milczeniu. Dopiero kiedy Gerej usiadł na sofie, pokrytej baraniami skórami i służącej za łożo, odezwał się:

— Hosz gołdy.

— Safat gołdy, odpowiedział Nuredyn.

— Cóż słyszeć? — spytał Gerej.

— Ty wiesz, panie—odrzekł Nuredyn i klasnął w dłonie.

Znowu pojawił się niewolnik, niosący kawę w małych filiżaneczkach, kaljany z tytuniem i fajerkę z żarzącymi węglami do zapalenia kaljanów.

— Czy wstępowałeś, Mirzo, do Kamieńca? Co powiada Husein? Czy Padyszach każe wypowiedzieć zagładę temu lwu Lechistanu?

Pytania te rzucał gorączkowo.

Nuredyn zaczął mówić wolno:

— Do Kamieńca nie wstępowałem, światło Proroka; nakazano mi już poprzednio unikać nawet pozorów porozumienia się z przedstawicielami Padyszacha. O ile wiem, Husein gromadzi amunicję, zapasy, wielbłądy, ale czy pójdzie z wojną na tych pezewenków, tego nie wiem; może tak, może nie. Któż zna myśli naszego Padyszacha?

— Pocóżby więc przysyłano po mnie do Bakeczysaraju i kazano iść w ziemię Lechistanu? —rzucił Gerej.—Wiedzą o tem dobrze, że wojować samym Tatarom niepodobna z tym szejtanem. Co innego we trzech. Ten urwie i ten urwie, ten trzeci także coś zabierze i w ten dopiero sposób rozdrapać ich można.

— Ty wiesz, panie, usłuchałem twego rozkazu i przybyłem z memi hordami, myśląc, że ty, Gwiazdo Proroka, już wdarłeś się głębiej do Lechistanu.

— Zapewne, że byłbym to zrobił—dorzucił Gerej—gdyby nie to przekłete gniazdo, którego zdobyć nie mogę, nie mając topów (armat)—i dotknięty wymówką Nuredyna, tygrysiem okiem spojrzał na niego.

— A gdyby raz jeszcze spróbować szturmu? —cicho wymówił Nuredin, dostrzegłszy błysk rzuconego mu spojrzenia.

— To probuj, Mirzo. Już przeszło dwa ty-

siące moich poszło do raju, możesz powiększyć tę liczbę, nie mam nic przeciwko temu. Ja widzę, że niema woli Proroka i pozostaje przymusić ich głodem, jak to już powiedziałem ci, Mirzo.

— Tak, ale jeżeli lew Lechistanu nadskoczy, to rozniesie nas jak podmuch wiatru.

— Mówią, że król Lechistanu wojsk nie ma, zresztą jak Allah da, tak będzie; teraz rabujmy dokoła, co się da—i odstawiwszy wypalony kajlan, Gerej leniwie podniósł się z sofy, przeciągnął i zawołał o konia.

Z temi samemi oznakami czci Nuredyn wyprowadził Gereja przed namiot, pottrzymał strzeżenie, nachylił się do wsparcia nóg jego na swoim grzbiecie i kiedy Gerej siedział już na koniu, kazał swojego przywieść, aby przeprowadzić wodza przez swój obóz i nad rzeką dopiero pożegnał go ostatecznie.

Tak przeszły cztery tygodnie, i żywność, której i tak zapasy niewielkie można było zebrać na początku, wyczerpywała się. Chrzanowski postanowił wysłać znów gońca do króla, ale nie wiedział kogo i jak?

Rzeczka, której nurt mógł ponieść pływaka w noc ciemną, płynęła ku południowi; ku północy, pod wodę, najlepszy pływak nie popłynąłby daleko. Radzono więc nad tem, gdy Kazimierz, widząc smutne położenie i rozpacz nurtującą Annę, podjął się zanieśienia wieści królowi.

Chrzanowski, Trembowla, towarzysze, lud i własne życie nie obchodziły go zupełnie, ale na lży Anny patrzeć nie mógł.

Rany pogoili mu się prawie, siły odzyskał i starał się przekonać Chrzanowskiego, który go nie chciał narażać, że byłoby zbrodnią wymawiać się od tak prostego obowiązku.

Majorowi żal było młodzieńca, polubił go za

męstwo i roztropność, szukał więc kogo innego na takie poselstwo i obiecywał znaczną nagrodę; ale nagroda nie nęciła. Każdemu szło o życie, a nie rozumieli tego, że w razie udania się w przesłaniu wiadomości, życie wszystkich ocalone być może; byli pewni, że Sobieski przybyć nie chce lub nie może, skoro go dotychczas nie widać.

Trzeba było przyjąć ofiarę Kazimierza. O ubiór tatarski było łatwo, ucharakteryzowanie twarzy nie było trudne, najgorsza rzecz się przedstawiała co do języka, którego Kazimierz nauczył się dotąd kilku wyrazów.

Lecz bohaterski młodzieniec nie dbał o nic, lekceważył wszystko i wiedział tylko, że wiadomość zanieść trzeba, bo jedynie w rychłej odsieczy było ocalenie wszystkich, a najważniejsze Anny.

Przed wieczorem, przebrany już za Tatara, przyszedł ich pożegnać, może na zawsze.

Namyślano się jeszcze, jak ma się udać, pieszo, czy konno.

Głębocki głosował za końmi, których było kilka z całym moderunkiem tatarskim, zdobytych przez dragonów, i zdanie to przeważyło, gdyż w razie szczęśliwego przedarcia się przez obóz, król prędzej byłby zawiadomiony, a trzeba już było liczyć się z dniami istnienia.

— Niechaj pan Kazimierz zaraz jedzie—powiedział Trzeciak—ja wypadnę z wioski z dragonami i zaalarmuję obóz Tatarów; to odwróci ich uwagę.

Przykłaśnięto temu dobrze obmyślanemu zamiarowi; jakaś otucha wstąpiła we wszystkich, że droga szczęśliwie się Kazimierzowi powiedzie. Więc też Trzeciak zaraz udał się do wioski, aby rzekomy napad mógł nastąpić natychmiast.

Za usłyszeniem rozbudzonego mrowiska, Kazimierz miał się wymknąć natychmiast w przeciwną stronę.

Ze łzami go żegnano, od ręki Anny trudno mu było oderwać usta, wyrwał się siłą.

Pozostali pokłękawszy poczęli się modlić i prosić Pana Zastępów o opiekę dla niego.

Następnego dnia Chrzanowski zrobił rewizję zapasów i przekonał się, że jest ich niewiele; całe szczęście jeszcze, że dostęp do wody z rzeki leżał w obrębie strzałów armatnich, a więc przeciętym nie był, bo kucie studni w skale szło bardzo wolno.

Pomimo to, noszenie wody kosztowało życie już kilkunastu ludzi; Tatarzy robili zasadzki i nie było dnia, żeby kogoś nie postrzelono z załamu skały, lub z przeciwnego brzegu, zajętego przez hordy Budziaku, chociaż od czasu do czasu podczas noszenia wody strzelano z armat w tę stronę, aby mieć drogę wolną.

W smutku i niepewności zszedł dzień jeden, gdy czatownik następnego dnia dał znać, że kilku Tatarów z białą chorągwią zbliża się do fortecy.

— Co to ma znaczyć — pomyślał Chrzanowski — czy Kazimierza złapano? — i zaniepokojony pobiegł do furtki.

Był to czaus z obozu Nuredyna, który ze złośliwością azjaty zawiadamiał, że poseł został złapany.

Chrzanowski oniemiał z bólu i postanowił nie mówić o tem nikomu, tylko uwiadomić Głębockiego; a czausowi powiedział, że w zamian za tego jeńca odda im dwóch agów chana, ujętych na murach przy szturmie. X X

X Czaus odjechał, aby powiedzieć Nuredynowi i dać znać, co on postanowi.

Posłał major zaraz po Głębockiego, ten wysłuchał uważnie tej smutnej wiadomości i zgodził się na to także, aby o tem milczeć i nie odbierać

otuchy; najwięcej szło im o dragona, który miał wyruszyć następnej nocy stosownie do rozkazu, jaki otrzymał jeszcze przy wyjeździe Kazimierza, bo wówczas postanowiono, że drugi goniec będzie zaraz wysłany.

Gdy przeszło pierwsze wrażenie, obadwaj zaczęli się zastanawiać nad tym faktem. Po pierwsze, czy Kazimierz byłby się dał ująć żywcem? Gdyby zaś był ujęty przez Tatarów Budziackich, byłoby to nawet lepiej, bo w razie niezgodzenia się Nuredyna na wymianę jeńca, można by zawiadomić o tem Hadži Gereja, że Nuredyn lekceważy sobie życie i wolność agów Gereja i kto wie, czy Gerej nie zmusiłby Nuredyna do wydania Kazimierza; stąd zrodziłaby się nawet niezgoda pomiędzy tatarstwem.

— Wiesz pan co, majorze, odezwał się Głębocki, ja pojedę do Gereja, jako parlamentarz; osoba posła jest świętą nawet i u nich.

— Próbować nie zawadzi — odpowiedział Chrzanowski — ale jeżeli domyślają się naszego smutnego położenia, to rozumieją w jakim celu jechał Kazimierz i poświęcą swych bejów, a jego zamordują.

Niezdługo Głębocki, poprzedzony przez dragona z białą chorągwią i trębacza, opuścił warownię.

Wypadek ten, pierwszy od początku oblężenia, stał się przedmiotem rozmów pomiędzy żołnierzami załogi.

— Musi być źle z nami, odezwał się jeden, skoro komendant wysłał posłów do Tatarów.

— Mnie się widzi — odpowiedział Bartłomiej, znany w szeregach z humoru, — że komendant chce posłać chanowi w podarunku szynkę wieprzową i dlatego zapytuje, czy jeść ją będzie. O! bo nasz major hojny jest i chce pokazać, że mamy jej

pod dostatkiem, a chan będzie również grzecznym i przyśle nam koniny, którą my już jeść zaczynamy. Ostatnie woły zostawiono dla rannych; zobaczysz, jak ja ci koninę przyprawię, to palce lizać będziesz, bracie.

Jednakowoż wysłanie Głębockiego zaniepokoiło wszystkich.

Po kilku godzinach był on już z powrotem i poszedł zaraz do mieszkania Chrzanowskiego. Tam zamknęli się obaj i Głębocki zaczął opowiadać:

— Gerej o niczem jeszcze nie wiedział, a na zapytanie, dlaczego Kazimierz przedzierał się przez ich obozy, odpowiedziałem mu, że młody ten żołnierz był długo chorował z rany i taka tęsknota go opanowała za domem rodzinnym, iż nie mogąc nic na to poradzić, pozwoliliśmy mu wracać do domu. Gerej cierpliwie słuchał, głową kiwał i nie wiem, czy uwierzył moim słowom, ale przyjął mnie politycznie, częstował kawą i fajką, i powiedział, że się rozmówi z Nuredynem i że jeżeli my zwrócimy mu agów, on mu da okup od siebie za Kazimierza. Przytem namawiał ciągle do poddania się, przedstawiając niemożność obrony i obiecywał wolność zupełną po przyjęciu Islamu; naturalnie, w przeciwnym razie, groził, że po zwycięstwie bez litości wytnie nas do nogi. Co prawda, polityczny to chan, bo i prosi i grozi, tylko, że tym azjatom wierzyć nie można. Gdybyśmy nawet przyjęli Islam i takby nas wycięto. Jutro ma nas zawiadomić o rezultacie swej rozmowy z Nuredynem.

Nie ucieszyło to Chrzanowskiego. To jutro było niepewne; poszedł więc, aby przygotować do drogi dragona, który już na mocy przysięgi wojskowej na posłuszeństwo, musiał jechać bez żadnych wymówek; Trzeciak zaś miał znowu zrobić

wycieczkę na obóz tatarski Nuredyna, przez który dragon miał się przedzierać.

Wycieczka Trzeciaka była bardzo ryzykowną: musiał przechodzić bród tuż obok twierdzy, o którym nie wiedzieli Tatarzy, niebezpiecznem więc było pokazywać im drogę na przyszłość, ale konieczność wysłania gońca przeważała wszelkie obawy.

Trzeciak prosił tylko, aby na bastjonie od rzeczki, Herman przygotował kilka armat, tak, aby bród był pod ich strzałami.

Głębocki obiecał sam czuwać nad wszystkim; Chrzanowski tylko zabronił Trzeciakowi brać wszystkich dragonów z wioski.

Na zapytanie Anny, czy nie wie co o Kazimierzu, czy przebył obozy — machnął tylko ręką i odpowiedział:

— Skąd ja mogę wiedzieć o tem, kochanie?

Przed wieczorem zaś wydał ponowne rozporządzenia Hermanowi, aby na bastjonie od strony rzeczki przygotował śmigownice.

Około północy za rzeką rozległy się wystrzały i krzyki tatarskie: Aman Allah, i zabłysnęły rozpalone ogniska; przy ich blasku zdawało się Chrzanowskiemu, że rozpoznaje dragonów, którzy uwijali się po obozie, strzelając i rąbiąc; później widział ich, jak szablą torowali sobie drogę ku rzece.

Kiedy już przybyli nad sam brzeg i znaleźli się w obrębie strzałów, dał znak Hermanowi, i śmigownice rzygnęły kulami w tatarskie tłumy. To wstrzymało gonitwę, Tatarzy cofnęli się i wszystko utonęło w ciemnościach.

Niedługo potem Trzeciak przyszedł na zamek i doniósł, że nie stracił ani jednego człowieka, tylko kilku było lekko rannych. Tatarów napadnięto w pierwszym śnie, zabitych było sporo i go-

niec prawdopodobnie przebył obóz szczęśliwie, gdyż uwaga nieprzyjaciela zwróciła się na napadających dragonów.

— Czy to tylko nie zaszkodzi Kazimierzowi? — odezwał się Chrzanowski.

— Trudna rada, wysłanie do króla ważniejsze, niż życie Kazimierza; tu idzie o wszystkich — powiedział Głębocki; i major przyznał mu w duszy rację.

Na drugi dzień spostrzeżono wysłańca hor dy, jak zbliżał się do twierdzy. Był to czaus od Gereja, który zawiadamiał o zgodzie Nuredyna na wydanie Kazimierza i zamianę jeńców, i dodawał, że przed wieczorem odstawi schwytanego, prosząc o wydanie bejów.

Przed wieczorem rzeczywiście biała chorągiewka zjawiła się znów przed warownią, a za nią orszak kilkunas tu Tatarów.

Chrzanowski wyszedł poza furtę i przestraszył się, zobaczywszy Kazimierza podtrzymywanego przez dwóch Tatarów, dającego słabe oznaki życia. Poraniony był okropnie, i tak nieprzytomny, że za ledwie zdołał poznać Chrzanowskiego, Cóż było jednakże robić, trzeba było dotrzymać umowy i wydać bejów. Tatarzy spełnili umowę. Zapytani, nie umieli objaśnić, mówiąc, że spełniają tylko dany sobie rozkaz.

Stan Kazimierza wyjaśniał jednak, jak łatwe ustępstwo zrobił Gerej: wołał wziąć zdrowych, a oddać umierającego.

Major kazał przynieść nosze, zdjęto Kazimierza ledwie żywego z konia i wniesiono do warowni.

Anna, na wiadomość o tem, przybiegła, a zobaczywszy go w tym stanie, rozplakała się.

Odniesiono go do lazaretu. Rany były bardzo ciężkie, a dodane do dawniejszych, niewiele rokowały nadziei.

Zebranej radzie wojennej Chrzanowski oznajmił, że żywności starczy jeszcze tylko na dwa tygodnie, że porcje trzeba coraz więcej uszczuplać, więc należało radzić, co dalej robić.

Zaproponował wycieczkę pieszą i konną, póki dla koni jeszcze starczy furażu; po wyczerpaniu zaś takowego, konie zostaną zjedzone. Wioska ma być spalona, a oddział tam konsystujący, cofnięty do fortecy.

Pomówiwszy o tem wszystkiem, rada się rozeszła, ale wszyscy byli bardzo pogiębieni; co widząc, major polecił ogłosić, że goniec wysłany do króla przedarł się przez obóz tatarski i że zapewne król przybędzie niedługo z odsieczą.

Na drugą noc przygotowano wycieczkę. Trzeciak miał z dragonami uderzyć na prawe skrzydło, a w godzinę po nim, Głębocki z piechotą na lewe skrzydło hordy Krymskiej.

Liczono na to, że pierwszy napad ściągnie na siebie całą uwagę Tatarów, a Głębocki z piechotą w liczbie 300 ludzi wejdzie do obozu tatarskiego i pochwyci, co będzie można z żywności. Chrzanowski i Herman mieli zasłaniać odwrót ogniem artylerji.

Około północy oddziały opuściły kolejno warownię.

— Panie poruczniku — mówił Żubr — toż to narzniemy tych baranów, aż djabli będą się śmieli.

— Oj stary, stary! i cóż nam z tego przyjdzie, że zabijemy dziesięciu, stu, tysiąc, parę tysięcy nawet? Myślisz, że skończysz z niemi w podobny sposób? Całe ich gniazda wygnieśćby potrzeba do szczytu, bo dzisiaj żyjący tak zasmakowali w tem życiu rozbójniczem cudzym kosztem, że im tego djabeł z głowy nie wybije. Może kiedyś wnuki ich nabiorą innych wyobra-

żeń, ale teraz oni sądzą, że będą panami świata i wszędzie wprowadzą swój Islam. Trzeba się bronić, oto wszystko, a resztę oddać Bogu. On jeden sprawiedliwość wymierzy. Tak, mój stary!

— Mądrze mówi pan porucznik, ale to nie przeszkadza, że kiedy okazja się wydarza, to tłuć będę, co siły w ramieniu, co ostrza w szabli. Łajdaki chcą, abyśmy przyjęli ich Islam, niedoczekanie wasze!

Z temi słowy, Żubra dragoni pierwsi wpadli do obozu tatarskiego.

Walka, a raczej rzeź uśpionych Tatarów była zajadłą; mordowano śpiących, przebudzonych, bez litości, bez wytchnienia.

Krzyki Aman, Aman! rozbudziły pogan.

Rozżarzone ogniska, piszczałki dęły na trwogę i oddziały zaczęły się skupiać, ustawiając się w szyk bojowy.

Zobaczywszy to, Trzeciak, który miał na celu żywność, a nie widząc jej zapasów, dał sygnał odwrotu. Ze stu pięćdziesięciu dragonami nie widział możliwości podjęcia walki na serjo. Zpie szył więc z koni połowę, uformował z niej straż tylną i cofał się ku warowni, zatrzymując napór tatarstwa salwami kilkudziesięciu muszkietów.

Lewe skrzydło Głębockiego również narobiło bigosu: halabardy i miecze opływały posoką, ale kto wie, czy nie padłby ofiarą cały ten oddział z dwustu ludzi, gdyby nie haubice Hermana, które dopiero powstrzymały roje otaczającej czerni.

Wycieczka ta, która miała na celu zdobycie żywności, oprócz 50 poległych z piechoty i 30 dragonów, a drugie tyle rannych, nie dała innych rezultatów oprócz tego tylko, że Gerej przekonał się, iż Trembowla nie upadła na duchu i tak łatwo się nie podda.

VIII. UKŁADY O PODDANIE.

W załodze dał się spostrzedz upadek ducha. Lud sarkał głośno i przebąkiwał, że lepiej jest poddać się, niż ginąć od strzała i głodu.

Chrzanowski ze smutkiem spoglądał na żonę; ona teraz dodawała mu odwagi i przypominała słowa królewskie.

Kazimierz zaledwie dyszał i był ciągle bezprzytomny.

Razu jednego, kiedy Anna siedziała przy jego tapczanie, ranny wymówił jej imię; zwróciło to jej uwagę i słuchała dalej:

— Królu ratuj! Tam giną od ran i głodu. Ona ginie, królu! Ona! Anna! moja jutrzienka, moje słonko; dlaczego tam ją posłałeś? Wojna, to sprawa mężczyzn, królu! Czy miałbyś odwagę posłać tam królową swoją? Ha milczysz, nie śmiałybyś, bo ją kochasz! I ja kocham, słyszysz panie? — Ja przysięgłem sobie bronić jej do ostatniej kropli krwi; patrz, jak jestem pocięty, wiedziałem, że to mnie może spotkać, a poszedłem, aby ją ocalić! Patrz królu! zaledwie żywy przywlokłem się do ciebie! Zbieraj wojska, ocal Trembowlę! Annę!

Anna oniemiała. Dotąd nie domyślała się nawet miłości Kazimierza ku sobie; teraz zrozumiała jego zaciągnięcie się do wojska, jego staranie, aby się dostać w poczet załogi Trembowli, jego narzucanie się, jako gońca do króla, przypomniła okazywaną jej dawniej życzliwość, serdeczną opiekę, jaką ją otaczał, gdy była dziewczką jeszcze, zrozumiała, że właśnie ta miłość zabija go teraz; i znowu rzewnemi zalała się łzami.

Chrzanowski zastał ją nad wyraz rozstrojoną, ale sam będąc niewypowiedzianie strapio-

ny, nie zwrócił tak bardzo uwagi na jej usposobienie i wypytawszy się tylko o rannego, udał się do swoich zajęć.

W takim przygnębieniu ducha upłynął znów tydzień. Napróżno czata z wieży miała oczy zwrócone na północo-zachód. Zabijano już konie na mięso. Zmniejszenie racji żywności, brak mleka i maki szkodliwie oddziaływać zaczęło na zdrowie ludności. Zaczynały się pojawiać choroby, febry i tyfusy.

Całym szczęściem było, że paroch, ojciec Laurenty, umiał przemawiać do ludzi i wpajać mu wiarę w Opatrzność Bożą, przedstawiając to obleżenie jako próbę ich wiary, wytrwałości i poddania się wyrokom Boskim.

Po zniknięciu kawalerji obleżonych, Tatarzy domyślili się braku żywności u nich; Gerej postanowił zatem znów spróbować zawiązanie układów o poddanie twierdzy, wiedząc, że inaczej zapłacić mu to przyjdzie drogo, gdyż pilno mu było iść z hordami w głąb kraju i chciał mieć zapewniony odwrót.

Przez politykę względem Nuredyna, wyznaczył na posła Muchaj Ağę z hord Jedysanu, tem więcej, że Muchaj już przedtem pośredniczył parę razy w kwestjach z pogranicznymi władzami Rzeczypospolitej.

Posłano po niego czausa i niezadługo Muchaj uchylił zasłony namiotu Gereja, gdzie oba z Nuredynem mieli mu dać instrukcje.

Wchodząc, Muchaj zwykłym pokłonem wschodu powitał swych władców i z powagą zasiadł na materacach. Etykieta nie dozwalała niższemu stopniem zacząć rozmowy, czekał więc na słowa Gereja, który się odezwał:

— Co słyhać?

— Ty wiesz, panie, rozkazałeś słudze swo-

jemu stawić się przed Twojem obliczem, Gwiazdo Proroka — więc jestem.

— Ago! pojedziesz do twierdzy rozmówić się z dowódcą tych eblisów i zażadasz zdania się na łaskę i niełaskę, wydania nam broni i wszystkiego, co mają, i przejścia ich na Islam. Gdy dopełnią tych warunków, pozwolimy im żyć, ale muszą się przenieść do naszych krajów, a te zasiedlimy swojemi, bo inaczej nie będziemy pewni, czy naprawdę przyjęli Islam, czy tylko pozornie. W przeciwnym razie, gdyby te czapkiны odrzucili mój wyrok łaskawy, to powiedz im, że w chwili, gdy z sił opadną z powodu głodu, jaki niezadługo zagości między niemi, przypuścimy szturm ostatni i wytniemy do nogi wszystko, oszczędzając tylko kobiety, dzieci i młodych, którzy pójdą w jasyr. Idź! powiedz to temu staremu psu, ich dowódcy, zobaczymy, co nam odpowie.

— Wola twoja, Sułtanie Krymu, Gwiazdo Proroka, palmo Mekki i Medyny, spełnioną będzie; przyniosę ci odpowiedź tych czapkinów.

I Muchaj złożywszy niski ukłon, opuścił namiot.

Po chwili oddział kilkunastu jeźdźców opuścił obóz i udał się w kierunku warowni. Warta dała znać o tem majorowi.

Chrzanowski domyślił się celu i postanowił przeciągać, o ile można, układy, aby zyskać na czasie, spodziewając się, że król niezadługo nadciągnie, skoro dragon, o ile się zdaje, przebył obóz i nie był schwytany przez Tatarów.

Przyjął Muchaję grzecznie w wiadomej nam już izbie przy furtce.

Gdy Tatar wszedł, Chrzanowski pierwszy przemówił:

— Co nam przynosisz Ago?

— Sułtanowie Krymu i Budziaku ślą ci pozdrowienie, efendi.

— Zanieś im również moje po powrocie, Ago.

— Syn księżycy i słońca, brat padyszacha, Hadżi Gerej, pan Krymu i brat jego młodszy, Nuredyn, pan Budziaku, powodując się niewyczerpaną dobrocią, łaską i miłosierdziem swoim nad cierpiącymi i potrzebującymi opieki, rozkazuje ci oddać tę twierdzę, broń, topy i wszystko; masz przyjąć z ludem twoim wiarę Proroka, opuścić tę ziemię, którą zaludnimy wyznawcami Islamu, zamieszkać w krajach władców moich, a wtenczas pan mój przycisnie cię do swojej piersi i po śmierci osiągniesz raj Mahometa. Położenie wasze jest nam wiadome—ciągnął dalej—jeżeli dotąd żywności wam nie brak, to zabraknie wam niedługo zupełnie i wpadniecie nam w ręce jak owoc dojrzały, co spada z drzewa; ale wtenczas nie spodziewajcie się żadnej litości.

Ze staremi zrobimy koniec, młodzi pójdą w jasyr na galery, kobiety w podział. Gdyby nie wiara Proroka i Allaha, który i najdrobniejszego robaczka bierze pod swoją opiekę, czy myślisz, efendi, że widziałbyś mnie tutaj, jako wysłannika łaski? Nie, więc rozważ dobrze słowa moje i daj mi odpowiedź; ja poczekam na nią.

Chrzanowski zamyślił się.

— A jakąż pewnoś mieć będziemy, że Gerej dotrzyma zobowiązań swoich?—zapytał.

— Pewność? Słowo mego pana, przysięgę jego na Koran, gdy tego koniecznie żądać będziecie—ale chan Krymu dotąd nie złamał słowa.

— To dla mnie za mało—odpowiedział Chrzanowski—ja sam możebym na słowie chana poprzestał, ale mam oficerów, żołnierzy, lud, przed którym także odpowiedzialny jestem. Wróć, Ago,

do swego pana i powiedz mu, że potrzebuję czasu do wybadania, czy zgodzą się wszyscy.

— Dobrze — odpowiedział Tatar. Przyłożył rękę do serca i wyszedł z fortecy, aby zanieść chanowi wiadomość o układach pomyślnie rozpoczętych.

Na dziedzińcu czekał już Głębocki, ciekawym będąc, czego chcą Tatarzy, i zapytał o to majora.

— Chcą tego, czego żądali pierwszy raz; wiedzą, że żywność nasza wyczerpuje się i bojąc się przybycia odsieczy, chcą strząsnąć owoc z drzewa; powiadają, że sami wpadniemy im w ręce, gdy nas głód zmorzy.

— Cóż, myślisz o tem, majorze?

— Postanowiłem przewlekać układy, a później?... Albo ja wiem! Poddanie byłoby hańbą i zbrodnią, ale walka możliwa, tylko jako ostatnia, na śmierć. Co wybierać, powiedz! Gdyby nam dotrzymali warunków co do wolności, bez przyjęcia Islamu, możebym się zgodził na poddanie.

— W części wypełniliśmy nasze zadanie. Wstrzymujemy już prawie dwa miesiące pochód Tatarów; do tego czasu król powinien był już zebrać sił więcej, gdyż napad jego na nich przestał już być tak groźnym, jak był przed dwoma miesiącami — mówił wolno Głębocki.

— Tak, masz pan rację, jutro może zgodzę się na poddanie, lecz bez wysiedlenia nas po za granicę Rzeczypospolitej i bez przyjęcia Islamu. Z odpowiedzi przekonamy się, że nie o wiarę im chodzi, bo jej sami nie mają, tylko o zdobycz i możliwość wdarcia się dalej w głąb kraju.

— Chodź do mnie poruczniku, powiemy to Annie, jak jej to zdawać się będzie.

Majorowa, która dopiero co wróciła ze szpi-

tala, siedziała pod oknem zamyślona nad odkryciem przez nią zrobionem przy łożu Kazimierza.

Z zadumy tej wyrwał ją łoskot wejścia męża i Głębockiego. Otarła łzę z oka, aby jej mąż nie spostrzegł i powitała ich z uśmiechem, wywołanym siłą woli. Major dostrzegł to; i on siłił się na pokrycie rozpaczyny nurtującej jego duszę, a uściskawszy żonę, zapytał obojętnie o Kazimierza i rannych żołnierzy.

— Kazimierzowi trochę lepiej, rany tracą charakter zapalny, gorączka opuszcza go już; mam nadzieję, że wyjdzie, ale upadek sił ogromny, widać, że za dużo krwi stracił. Potrzebuje baczniejszego pielęgnowania, a potem odżywiania, a tego właśnie może zabraknąć. Nie gniewaj się, mężu, że zarezerwuję dla niego te kilka butelek wina, jakie jeszcze pozostały. Będę robić wszystko, aby jeżeli Bóg pozwoli, powrócić go rodzicom.

— Nie mam nic przeciwko temu, Anno moja, wiesz, że oddzieliłem z pozostałych nam zapasów to wszystko, co może być potrzebne dla rannych; my zdrowi, będziemy jedli, co jest i jak jest. Przyszliśmy ci właśnie powiedzieć, że chan ofiarowuje nam wolność za poddanie Trembowli, ale żąda przyjęcia Islamu i przeniesienia się stąd do ich kraju, czyli niewoli. Cóż ty na to? Nieprawdaż, że to dar wspaniały pozwolić nam żyć bez wiary i języka?

— Co ty mówisz, Samuelu? Żartujesz chyba! Jakto? Ty chrześcijanin, miałbyś przyjąć wiarę ich proroka, fałsz za prawdę? miałbyś iść w niewolę, będąc wolnym! to niemożliwe, Samuelu, to gorsze od śmierci samej, to śmierć ducha! O! wolę już śmierć ciała, ta kończy życie, ale też i przecina wszelkie cierpienia. Chciałeś zażartować ze mnie? Pomyśl, jakie byłoby to dalsze życie, chyba wiesz, że byłoby tylko pasmem bólu i pogar-

dy dla siebie samego. Tatar śmiałyby się sam z ciebie i pogardzałby jak psem, którego nazwisko już dziś nam daje.

Płomień buchał z oblicza Anny, słowa te wyrzuciła gorączkowo z swej piersi.

— Wiem to wszystko, Anno, bez uwag twoich, że byłoby to straszne, a więc nie do przyjęcia, mówiłem ci to tylko, że takie warunki nakłada Gerej. Właśnie przyszedliśmy z panem Głębockim, aby o tem pogadać. Położenie nasze jest straszne, dni nasze są już policzone i jeżeli w tych dniach król nie nadciągnie, wymrzemy z głodu, a Trembowla będzie zdobytą z nami lub bez nas. Wtedy nic nie zyskamy; poddając się zaś, ocalamy życie. Cóż Anno?

— Mężu, przyrzekłam królowi, że Trembowla się nie podda, musisz więc wyczerpać wszystkie środki, a potem niech się już dzieje wola Boża; taką była moja przysięga, takiem jest i teraz moje zdanie.

— A jeżeli Tatarzy jeszcze jeden szturm przypuszczą i wedrą się do warowni—odezwał się Głębocki—to Trembowlę i tak zdobędą, a z nami postąpią według słów, z którymi aga przyjeżdżał.

— Tego właśnie się boję—rzekł Chrzanowski—a gdy wystawię sobie, Anno, ciebie, ciągniętą przez Tatara, to krew krzepnie mi w żyłach i bierze mnie ochota zabić ciebie i siebie razem. Po drugie, czy zastanowiliście się nad tem, że bierzemy na swoje sumienie życie nie tylko nasze! Jest nas jeszcze przeszło tysiąc i dla czegoż tylu ma tracić swobodę i życie? Dla tego tylko, aby nie złamać honoru? Wszystko ma swoją granicę.

— Mężu, ja ciebie nie poznaję! Gdzież przysięgi składane Bogu, królowi i mnie? Wszak na

Chrzcie Świętym przysięgano za ciebie, że pozostaniesz do śmierci wyznawcą Chrystusa! Jako mężczyzna dobrowolnie składałeś przysięgę na wierność chorągwi, jako mąż przysięgałeś mi opiekę. Ja przysięgałam chrześcijaninowi, nie odstępcy od wiary przodków. Powiadasz, że nie chcesz brać odpowiedzialności za życie wszystkich tutaj zamkniętych z nami? Aleś ty ich wodzem, ty jesteś stróżem ich honoru, a więc nie wolno ci zdeptać tego; Bóg i honor, to jest przysięga! To jest sumienie! To jest wszystko, mój mężu!

Słowa te poruszyły Chrzanowskiego do głębi, z uwielbieniem spojrział na żonę, ukląkł jak przed obrazem świętym i krótko wyrzekł: Masz rację, Anno.

A po chwili do Głębockiego mówił już wolno:

— Zawiązane układy będę przedłużał o ile można, aby szturm zwlec. Może tymczasem król nadciągnie, ale widzieć ją,—i wskazał na żonę—branką tatarską, nie zniósłbym, nie mogę. Kocham ją nad życie i gdybym ją stracił, wyrzekłbym się Boga, bo już w niczym nie wierzył. Kto pokochał tak, jak ja, kto czuł przy swoim sercu bicie jej serca i tętno jej krwi, to na samą myśl, że stracić ją mogę, splugawioną przez uścisk Tatara, krew lodowacieje w żyłach—tracę przytomność. Z tych więc powodów ja nie mogę czekać na szturm ostatni. Gdy będę widział, że doczekać się odsieczy niepodobieństwo, gdy będę widział i czuł, że głód odbiera nam resztę sił, poddam się, choćby tylko pod warunkiem ocalenia życia i wypuszczenia na wolność. To jest moje ostatnie słowo. Resztę zostawmy Bogu.

— Komendancie, a jeżeli Gerej przyrzecze i nie dotrzyma umowy, czy nasze poddanie się

przyniesie nam i krajowi pożytek? — odezwał się Głębocki. — Wszak już tyle razy zawierano z nimi traktaty i tyle razy łamali przysięgę! Czyż nie znamy ich azjatyckiego charakteru, dla którego nie istnieje cześć, honor, przysięga, traktaty! U nich jest jedynie fałsz, nietylko w religji, ale w sercu i duszy, tam wszystko jest fałszem, zdrada, podejściem. Sposób postępowania ich, wyniesiony z Karakorum, jest ten sam, jaki był za czasów Dżyngischana; polityka ta przeszła w krew i kości, celem jej rozbój, łupy, rabunek tych ludów, które wpadły w ich szpony; niszczą nawet ich ustrój społeczny. Gdy cię obedną z mienia, to potem dążą do tego, aby zabić w tobie sumienie i narzucić ci swojego proroka. A wiesz dla czego, majorze? Bo przed Bogiem chrześcijan, ich prorok jest mizernym naśladowcą Chrystusa; w niektórych artykułach wiary, które z Jego nauki zaczerpnął, jest tylko manekinem i zadawała się pokłonem. Bo przed prawdziwą moralnością, drży ich rozpasanie; przed prawdą, ich fałsz; przed prawością ich złodziejstwo! Omamią ducha twojego mniemanym blaskiem i kiedy ci narzucą na plecy kaftan honorowy, sułtański lub szatę ze złotogłowiu, to już będziesz tak spodlony, że i Boga i religję swoją będziesz miał za nic; wówczas i Tatar i szatan śmiać się będą z ciebie piekielnym śmiechem. Pomyśl więc, majorze, czy poddanie będzie zbawiennem i czy zareczysz za to, że po jakimś czasie nie targniesz się na własne życie, jak to już wielu naszych zrobiło u nich, nie mogąc żyć w podobnych warunkach.

— Wyjałeś mi z ust te słowa, panie poruczniku, odezwała się Anna; możebym nie umiała wypowiedzieć ich tak jasno, ale lepsza śmierć zaraz, prędka, niż takie powolne konanie, w męce.

Lecz zdaje się, że mamy jeszcze czas na nią, a ja muszę iść do moich rannych; tam odzyskam może tę równowagę myśli, jakiej tu brakować mi już zaczyna.

Za nią wyszli major z Głębockim, gdyż obecność ich była potrzebna w obrębie fortecy.

Załoga trzymała się wojskową dyscypliną i milczała dotąd; ale ludność okoliczna szemrała głośno na uczuwany niedostatek, żyła bowiem już tylko mięsem koni dragonskich; a zboża brakowało. Najgorzej było z dziećmi, dla których mleka i delikatniejszego pożywienia dostarczyć nie było można.

Gromadki zaczynały się zbierać po dziedzińcach i słychać było słowa: poddanie się. Gdy major przechodził, zbliżył się jeden ze starszych wieśniaków i pochyliwszy się do kolan, przemówił:

— Ojczy, co zrobicie z nami? Czyż mamy umierać z głodu z żonami i dziećmi; chyba lepsza niewola u Tatara, niż głód; serce się kraje patrzeć na żony i dzieci, które już tej koniny bez soli jeść nie potrafią. Podobno Tatarzyn obiecuje zmiłowanie, to czemuż nie przystajecie na to? Czy król zapomniał o nas?

— Mylisz się bracie, król nie zapomniał. Ja to samo jem, co wy, tylko ranni jedzą trochę lepiej; ale wiesz również o tem, że ta warownia powstrzymuje Tatarów od zniszczenia całego okolicznego kraju i jeżeli się podda lub zostanie zdobytą, to te tysiące dziczy, jaka nas otacza, obróca resztę w perzynę, zaleją kraj cały i powłoką w jasyr tysiące tysięcy. Jeżeli to zrozumiesz, bracie, to zrozumiesz także, że musimy wytrwać do chwili odsieczy króla; on wie o naszym położeniu, on nas nie opuści; więc póki człowiek tylko wytrwać będzie mógł, póty się bronić

musimy. Powiedz to innym, ale zaraz dodaj, że Bóg jest nad nami i że On miłosierny.

Na te słowa wieśniak pochylił się znowu do nóg jego i poszedł. Widać, że słowa dowódcy cokolwiek go przekonały; Chrzanowski był pewien, że nie pozostaną bez wpływu, bez wrażenia i powtarzane będą wszystkim.

Następnego dnia znowu sygnalizowano kilku posłów tatarskich.

Był to Muchaj z jakimś drugim Murzą.

Wprowadzono ich do izby przy furcie.

— Cóż nam przynosicie, bejowie, pokój czy wojnę? — zapytał major.

— Allah pokój daje wierzącym w niego; pan mój, Hadzi Gerej, tyle odstępuje, że wymaga tylko poddania się i przyjęcia Islamu.

— Ha, w takim razie wybieramy wojnę—rzekł Głębocki—bo powiedzcie mi, bejowie, co byście odpowiedzieli nam na to, gdybyśmy od was zażądali wyrzeczenia się waszego proroka? Walczymy już lat tyle ze sobą, mamy u siebie sporą liczbę Tatarów jeszcze od czasów Wielkiego Wiktolda—czy zmuszaliśmy ich kiedy do wyrzeczenia się wiary proroka? Oni żyli z nami, przyjęli nasz ustrój państwowy, a chociaż mają swoje meczety, dobrowolnie przyjęli nasz język, ubiór, dobrowolnie walczą wraz z nami i nie są prześladowani przez nikogo... Wszak wiesz zapewne o tem, że na Litwie mieszkają tysiące waszych współbraci. Czy chcą powrócić do Krymu? Nawet utrzymują z nim dotąd stosunki. Dlaczego? Bo u nas znaleźli cywilizację, spokój i swobodę, których nie pomieniają na waszą dzikość, bezład i despotyzm.

Tatar zamyślił się. Słowa Głębockiego przemawiały wyraźnie do jego rozumu, ale przypomniał sobie wolę chańską i po chwili zbudził się

w nim znowu azjatycki instynkt, co odbiło się w jego tygrysiem spojrzeniu.

— Pan mój, chan Krymu, polecił mi tylko zapytać, czy oddacie twierdzą za wolność i przyjmiecie wiarę proroka? Efendi, widzę to ze słów twoich, że zgadzacie się na poddanie, ale bez zmiany religji, a więc muszę się spytać mojego władcy, czy on w łaskowości swojej przystanie na to.

Wracam więc i wolę jego oznajmię wam dziś jeszcze lub jutro.

Po wyrzeczeniu alejkum salem, opuścił twierdzą.

— Cóż, poruczniku, czy dobrze robię, przewlekając układy? A może też król nadciągnie tymczasem. Gdyby nie widmo głodu, byłbym spokojniejszy; nawet najwyższym wysiłkiem swoich hord nie wezmą nas szturmem, to wiem, ale żywności mamy zaledwie na dni kilka.

Głębocki milczał i tarł czoło, zauważył już bowiem szemranie wśród załogi. Żubr doniósł mu, że był zmuszony ukarać kilku żołnierzy za schadzki i tajemne rozmowy.

IX. CHRZANOWSKA.

Warty na wałach daremnie patrzyły na północ, nic nie objawiało bliskości wyzwolenia. Hordy zaś Nuredyna wysyłały ciągle oddziały w różne strony, sprowadzając żywność i łupy do obozu, nawet jeńców. Trembowla była otoczona nierozzerwalnym pierścieniem. Wysłanie nowego gońca było niepodobieństwem, a w dodatku wszystkich dręczyła myśl, czy dragon się przedarł, bo żadnej o nim wieści nie było.

Kazimierz podnosił się już z łoża. Od tej chwili majorowa, wiedząc niechęć o tajemnicy

jego serca, zaczęła unikać jego towarzystwa; była przy nim o tyle, o ile pomoc jej była niezbędną. Rumieniec zniknął z twarzy młodej kobiety, cierpiała potrójnie: za męża, za Kazimierza i za siebie.

Po upływie dwóch dni warta znów dała znać o przybyciu Muchaja, który wszedłszy, powiedział:

— Efendi! zwiastuję ci pomyślną nowinę. Pan mój zwalnia was od przyjęcia Islamu pod warunkiem, że jutro oddacie warownię. Wyjdziecie swobodni, ale bez broni i będziecie wyprowadzeni przez nasze wojska poza nasze obozy ku zachodowi.

— Czy chan zaprzysięgnie nam na koran, że po wyjściu nie będziemy przez was wymordowani? — zapytał Chrzanowski.

Tatar zamyślił się.

— Zapewne, ale to już z siebie wynika i pan mój nie mówił nawet o tem.

— Nie mówił? Ale ja chcę mieć pewność; wracaj więc raz jeszcze do twojego sultana i powiedz mu, że zgadzamy się na wydanie warowni, jeżeli Hadżi Gerej i Nuredyn w obecności waszych hord zanurzą do wody końce swych jataganów i wykonają przysięgę na koran, że po wyjściu z twierdzy nie napadną na nas i siłą nie powloką w jasyr.

— Dobrze, efendi, wracam zaraz i przyniosę odpowiedź.

Major z Głębockim poszli do Anny zwiastować jej tę pomyślną nowinę.

Majorowa wysłuchiwała jej na pozór spokojnie; widziała i czuła tę konieczność, ale po chwili wybuchnęła serdecznym płaczem i straciła przytomność. Zaczęto ją cucić i dopiero po długiej

chwili otworzyła oczy; odetchnęła głęboko i półgłosem, jakby do siebie, wyrzekła:

— Nie, to niepodobna, to niemożliwe, lepsza śmierć.

Usłyszał to major i załamał ręce.

— Zrobiłem, co można — powiedział — co mi rozum i sumienie dyktowało; ale przed wyższą siłą muszę pochylić głowę; zanadto mi jesteś drogą, Anno — dodał cicho.

Anna wyszła do lazaretu i powiedziała Kazimierzowi, że chce z nim pomówić bez świadków.

Wyprowadziwszy go do drugiej izby, zapytała naprzód, jak się czuje.

— Dziękuję, już wracam do sił. Czy masz jakie polecenie dla mnie? Ale czy to prawda, że mąż twój rozpoczął układy z chanem?

— Tak, panie Kazimierzu, mąż mój wobec głodu, jaki już rozpościera się w warowni, stracił nadzieję odsieczy, a ratując życie nas wszystkich, głównie zaś moje, chce poddać Trembowłę.

— Jakie warunki nakłada chan?

— Z początku narzucał nam Islam i wysiedlenie na Krym, ostatecznie przyrzeka zupełną wolność.

— Jaka jest pewność, że dotrzyma słowa?

— Podobno ma przysiąc na koran.

— To nie jest żadna pewność; azjata nie kępuje się przysięgą, on rządzi się tylko chciwością, to tygrys w ludzkim ciele.

— Głębocki to samo mówi i ja również; ale cóż mają robić? Osłabieni głodem, wkrótce sami wpadną w ręce tatarskie. Dlatego przyszedłem do ciebie, Kazimierzu, aby ci powiedzieć i żądać od ciebie w imię tego uczucia, jakie masz dla mnie, a z którym zdradziłeś się w gorączce, abyś wzięwszy do pomocy Żubra, na którego, o ile mi się zdaje liczyć można, wszystek proch, któ-

rego podobno jest dosyć jeszcze, rozmieścić pod głównym budynkiem, pod wieżą i przynajmniej pod jednym bastjonem. Beczki połącz z sobą lontem siarkowanym, tak, aby w jednym miejscu zapalone, wybuchnęły razem w danej chwili. Ja to sama podpale; wtedy Tatarzy znajdą tylko gruzy i trupy.

Kazimierz spojrział na nią, jak na nadziejską istotę. Gdy mówiła o miłości jego dla siebie, bladł i czerwieniał naprzemian; teraz zadumał się i zapytał:

— Czy major wie o tem, pani?

— Nie, gdyż jemu idzie głównie o moją wolność i życie.

Kazimierzowi spadło kilka łez z oczu i szepetem wymówił do siebie:

— Ten człowiek silniej ją kocha odemnie.

A potem dodał:

— Tak, to lepiej, a nuż Gerej popędziłby nas wszystkich do Krymu. Ją widzieć branką! Nie, lepiej zginąć!

Słowa te Anna jakby odgadła, choć były wyrzeczone tak cicho, że dosłyszeć ich nie mogła; z uczuciem ścisnęła mu rękę widząc, że jeszcze wyraźniej zarysowała się miłość Kazimierza dla niej. Miłość ta była bez zaprzeczenia samolubną w stosunku do jej męża, gdyż ani mnie, ani tobie; ale silniejszą, bo ocalała część duchową ukochanej kobiety, sama zaś jej istota pozostawała na stronie.

Kazimierz obiecał urządzić wszystko w nocy z Żubrem.

Anna, zapewniona jego uroczystem słowem, wróciła do domu już spokojniejsza, aby przygotować się do przejścia w świat inny, tym razem z mężem.

Około godziny 10 rano przybył Muchaj, przywożąc zgode chana na wszystko.

Postanowiono ceremonji przysięgi dokonać przed obozem Tatarów, Głębocki miał jej wysłuchać, a Tatarzy obiecali przysłać zaraz kilkanaście sztuk bydła dla zamkniętych w fortecy, co wywołało szaloną radość w wojsku i ludzie. Najajutrz zrana forteca miała być zdana.

Chrzanowski chodził jak trup blady, nic nie widział, nie słyszał, uciekał od żony, towarzyszków, ludzi; wydał tylko rozkaz Głębockiemu, aby odebrał przysięgę od Tatarów.

Żołnierze i włościanie przygotowywali tłomoczki, które pozwolono wynieść na plecach. Tej nocy nikt nie spał, dojadano i ogryzano jeszcze kości pozostałe po spożyciu bydła, które rozerwano na kęsy.

Major był tak nieprzytomny, że nie zwróciło jego uwagi krzatanie się Kazimierza i Żubra.

Wschodzące słońce oświeciło promieniami swemi gromady żołnierzy i wieśniaków z tobołami i dziećmi na plecach, gotujące się do wyjścia; czaty jednak stały ciągle na wałach, miały zejść z nich dopiero po opuszczeniu twierdzy przez ostatniego żołnierza.

Wieśniacy mieli wyjść pierwsi.

W twarzy Kazimierza i Żubra wyryta była rezygnacja, na twarzy zaś Trzeciaka, Hermana i innych świeciła widocznie iskierka nadziei, bo usta ich wciąż bezwiednie szeptały: Król idzie.

Przed mieszkaniem majora zebrała się cała załoga wojskowa: piechota bez halabard, dragoni bez muszkietów i pałaszy; za nimi rekonwalescenci o kijach i kulach.

Po wszystkich tych twarzach, spalonych słońcem i zczerniałych od dymu prochowego, toczyły się łzy. Paroch w komży stał z wodą świę-

coną, aby pobłogosławić na drogę wygnańców, a Głębocki w pełnej zbroi trzymał cugle ostatniego wychudzonego konia, na którym miał jechać do obozu Tatarów.

Jeden tylko lud, ustawiony po dziedzińcach, cieszył się, że niedola się kończy, nie myśląc o tem, co go może spotkać w razie wiarołomstwa Tatarów.

X. ODSIECZ.

Odjęto barykady głównej bramy i w drzwiach kwatery ukazał się Chrzanowski w pełnej zbroi, ale tak złamany cierpieniem, że zmieniony był prawie do niepoznania. Wzrok jego zamglony z niezmiernym smutkiem patrzył na zebranych. Za nim postępowała Anna, a w jej oczach palił się jakiś nadziemski ogień, ale takiej siły, że wzrok wszystkich zwracał się mimowoli ku niej.

— Bracia! — przemówił wreszcie Chrzanowski — wybiła godzina, w której ocalając życie was wszystkich i wolność naszą, zmuszony jestem poddać się Tatarom, gdyż głód wyczerpał nasze siły i wzięliby nas w jasyr, nawet bez oporu.

A zwracając się do Głębockiego, rzekł.

— Poruczniku, pójdziesz przed obóz Tatarów wysłuchać ich przysięgi, że wszystkimi w takich wypadkach używanymi ceremonjami, które znasz dobrze. Czekamy twego powrotu.

Po odjeździe Głębockiego, z poza majora wysunęła się Anna i zimnym lodowatym głosem wyrzekła te słowa:

— Panie i mężu mój! widząc nieuchronną konieczność tego strasznego końca, oświadczam tobie i wszystkim, że kiedy Tatarzy będą wchodzić w mury Trembowli, zamiast jeńców znajdą

gruzy i trupy; wysadzę was i siebie w powietrze i nikt nie jest w stanie mi w tem przeszkodzić.

Chrzanowski osłupiał; przez chwilę słów tych nie mógł zrozumieć, ale potem i jemu rozjaśniło się czoło, teraz dopiero zrozumiał tę kobietę i był jej nieskończenie wdzięczny, że ginąc mu z sobą pozwalała.

Ona to znalazła punkt wyjścia bez zmazy honoru.

Lecz przestрах ogarnął wojsko i lud; podniósł się jęk i płacz w tłumie taki, jaki może usłyszy kiedyś ucho ludzkie przy końcu świata.

Ksiądz zrozumiał położenie, wiedział, że tylko wiara dodać może siły rozpaczonemu, padł na kolana i zaintonował pieśń:

«Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy».

Ale usta ludu jeszcze nie zdążyły pochwycić tej melodji, gdy z nad bramy rozległ się okrzyk sztyldwacha:

— Jakieś wojsko nadciąga! odsiecz! nasi! król! król!

Wszystko, co żyło, rzuciło się na wały; jedna tylko Anna pozostała z lontem gorejącym w dłoni, a przy niej Kazimierz z oczyma w nią utkwionemi w niemym zachwycie i z modlitwą na ustach, którą bezwiednie szeptał.

Chrzanowski jak piorun skoczył na wieżę i z jej wysokości ujrzał tumany kurzawy, zbliżające się od północy, a równocześnie w obozie Tatarów krymskich i Nuredyna powstał ruch niezwykły. Siadano na koń, piszczałki dęły przerażliwie, a bęben chański bił na trwogę.

Wyciągały się szeregi lotnej tatarskiej jazdy; murzowie, agowie i bejowie z jataganami w ręku szykowali swoje wojsko, jak do boju.

Nuredyn w otoczeniu dowódców poleciał do swego obozu; widocznie on pierwszy miał się spotkać z ową kurzawą, jaka rosła i kłębiła się w oddali; jednocześnie zaś hordy krymców ruszyły ku warowni, może w nadziei, że ją jeszcze zdobędą.

Zrozumiał ten ruch Chrzanowski, przewidując, że Nuredyn będzie chciał stawić opór wojskom króla, a Gerej pokusi się teraz o zdobycie szturmem wygłodniałej warowni.

Dał znak dobošom. Bębny zawarczały, i żołnierze porwali za muszkiety, pałasze i ładunki, ustawiając się na wałach, przenosząc śmierć z ręki wroga nad wybuch prochowy.

Herman ze swoją komendą znalazł się przy działach, nabijając je śpiesznie.

— Na mury wszyscy! kto żyje! z drągami i kamieniami! — wołał do wieśniaków major. Wszyscy stanęli na wałach z okrzykiem:

— Nie damy się pohańcom!

Major był już spokojny o Annę, wiedział, że Tatar nie powlecze jej w jasyr, dla niego zaś śmierć na wałach nie była straszną.

Tatarskie Allah! Allah! odezwało się wściekle w powietrzu i znowu tysiące wdzierały się na wały, znowu armatnie i muszkietowe kule setki azjatów słały do rajy proroka.

Napór był straszny, ale i obrona wywoływała nadludzkie siły: berdysze, halabardy, miecze, kamienie, belki, z wściekłością strącały głowy tych, którzy się nad mur wychylali.

Okrzyki: Jezus! Marja! ratuj! lub wybuchy radości, oraz przekleństwa Tatarów, krzyżowały się w powietrzu. Chmury strzał zasłaniały słońce, grzmot wystrzałów muszkietowych pochłaniał wrzawę i górował nad nią.

Chrzanowski był wszędzie, walczył osobiście,

zachęcał, kierował ruchami i od czasu do czasu śledził przez perspektywę walkę hord Nuredyna z przednią strażą wojsk królewskich.

Teraz już widział dobrze kolety dragonów, mundury petyhorców i kozackie chorągwie; dojrzał zbliżających się husarzy, a stąd poznał, że sam król przybywa.

Rozpoczęta walka hord Nuredyna już z samego początku widać nie była pomyślną dla Tatarów, bo czaus, wysłany do Gereja, przebył rzekę, a po chwili oddział wyborowej jazdy chana śpieszył na pomoc hordom Budziaku.

Major spojrzał po wałach. Walka toczyła się już pierś o pierś, szabla spotykała jatagan lub kiścień, zdawało się, że Tatarzy, już, już zaleją warownię. Połowa obrońców ubyła z szeregów, ramiona, nadwątlone głodem, mdlały.

Spojrzał za siebie i zobaczył Annę, stojącą zawsze w sieni, z lontem w dłoni.

Padła znów na niego chwila zwątpienia, zwrócił oczy ku niebu, jakby tam szukał ratunku; lecz gdy spojrzał ku rzece, znów uśmiech rozjaśnił mu oblicze, hordy Budziaku pierzchały, a przednie szeregi wojsk królewskich upatrywały brodu na rzece. Chrzanowski posłał wieśniaków, aby wskazali.

Teraz widział, że prośba jego do Boga wysłuchaną była; widział, że husarja nie przyjęła jeszcze udziału w walce i domyślił się, że król użyje jej dopiero na hordy Gereja.

Te wyteżyły jeszcze raz swe siły przy wałach, Chrzanowski pobiegł więc w najgorętszy wir boju, wołając:

— Nuredyn rozbity!

To tak ożywiło walczących żołnierzy, że z ostatnim wysiłkiem odrzucili tych Tatarów, którzy się już wdarli na wały.

Czas bo też był już wielki, był to bowiem ostatni wysiłek; na drugi podobny jużby broniący nie mogli się zdobyć.

W chwilę potem odezwały się piszczałki, i hordy tatarskie tłumnie cofały się od murów. Armaty znów odzyskały mowę, orząc zagony wśród dziczy.

Chrzanowski odetchnął, padł na kolana i ze łzami dziękował Bogu za zbawienie. Porwał się później i pobiegł do Anny, wołając:

— Jesteśmy ocaleni!

Anna zbladła, wypuściła z dłoni lont gorejący i padła zemdlona, siły jej były wyczerpane.

Oddawszy ją opiece kobiet, major pobiegł znowu na wały, aby spojrzeć na wojska królewskie, które już przebyły rzekę, gotując się do ataku.

Hordy Krymu nie pierzchnęły dotąd. Chan postanowił spróbować jeszcze przewagi tłumów swoich, a było ich jednak do 20 tysięcy.

Major uszykował swoją załogę i kazał otworzyć bramy, aby poprzeć atak wojska.

Słyszał już, jak stamtąd odezwała się trąbka i dała sygnał, a chorągwie petyhorskie, dragońskie i kozackie rozsunęły się na boki, przez otwartą zaś w ten sposób lukę husarze z opuszczonemi w pół ucha końskiego kopjami ruszyli do ataku. Z początku wolno, później prędzej, a w końcu całym pędem koni.

Był to taran, jakim Sobieski uderzał zawsze w te tysiączne tłumy, taran, który je nawskroś przebijał. Po nim dopiero lżejsze chorągwie poszły w bój, jak do tańca.

Uderzenie to odrazu zdecydowało zwycięstwo.

Ale długo jeszcze walczyć trzeba było na równinie, na której był rozbitý obóz tatarski.

Chrzanowski ze swym oddziałem przyjął również udział w boju; walczono zajadle, załoga twierdzy wściekle się mściła za głód wycierpiany.

Nareszcie tatarstwo zaczęło pierzchać, a kozackie chorągwie poszły do pościgu.

Król na czele husarzy, którzy już po swem uderzeniu powrócili, podjechał do warowni.

W bramie czekał go Chrzanowski w towarzystwie Głębockiego, Kazimierza, Trzeciaka i Hermana, którzy cudem prawie wyszli cało z walki na wałach i poza murami.

Gdy siwy koń króla zatrzymał się przed niemi, Jan III wyciągnął dłoń do Chrzanowskiego, mówiąc:

— Dziękuję ci, towarzyszu, dotrzymałeś słowa.

Chrzanowski, odkrywwszy głowę, ucałował rękę królewską i odpowiedział.

— To nie ja, miłościwy panie, to moja Anna. Czy wiesz, królu, że dziś już zdecydowałem się poddać Trembowłę, bo tylko to mogło nas ocalić od śmierci głodowej i jasyru, ale w parę godzin później, zastałbyś gruzy i trupy; Anna chciała wysadzić nas w powietrze!

I opowiedział królowi drobiazgowo ostatnie chwile.

Jan III ze zdumieniem słuchał sprawozdania majora, potem zsiadł z konia, mówiąc do swego otoczenia.

— A więc pójdźmy pokłonić się temu bohaterowi kobiecie—i z temi słowy wkroczył w mury warowni.

Anna wyszła na przyjęcie króla, ten zaś po rycersku całując jej rękę i objawszy wzrokiem jej postać, wyrzekł głosem stłumionym przez uczucie.

— Zrób mi tę łaskę, obroicielko Trembo-

wli i pozwól mi trzymać do chrztu syna, jaki ci się narodzi, bo nie wątpię, że również bohaterem zostanie. Co zaś do ciebie, majorze, to na pierwszym sejmie przedstawimy cię do nobilitacji. To co szlachetnem jest w duszy, musi być szlachetnem i na pergaminie.

Z temi słowy król opuścił Trembowłę, aby czuwać osobiście nad pościgiem rozbitych Tatarów.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

GŁOGOWA.

	<i>Str.</i>
Wstęp.	
I. Pogłoski o napadzie Niemców	2
II. Narady mieszczan	6
III. Schwytnie szpiega	13
IV. Przygotowania do obrony	17
V. Najście Niemców	20
VI. Narada w obozie	27
VII. Szturm	31
VIII. Próba przekupstwa	38
IX. Żądanie dzieci na zakładników	45
X. Odsiecz króla Bolesława	49

TREMBOWLA.

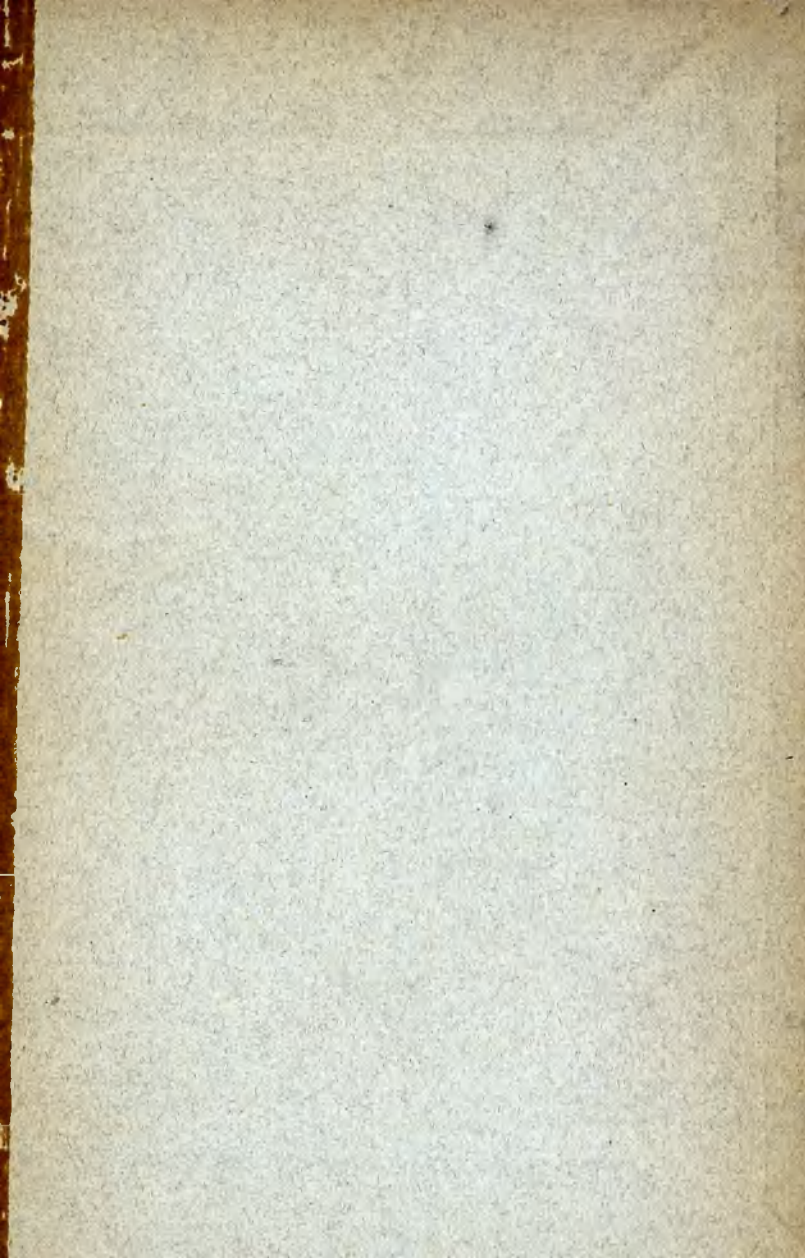
I. Samuel Chrzanowski	57
II. Naznaczenie i instrukcje	62
III. Wyjazd do Trembowli i przybycie tamże.	67
IV. Podjazdy i Tatarzy	79
V. Propozycje i szturm	90
VI. Drugi szturm	98
VII. Przybycie Nogajców	104
VIII. Układy o poddanie	119
IX. Chrzanowska	130
X. Odsiecz	135

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000740125



I 3594



Księgarni M. ARCTA w Warszawie

- Amstrong F. Wśród chmur i słońca. Powieść z 4-ma rycinami, brosz. kop. 75, w oprawie 1 —
- Borkowska A. Nad wodami Bałtyku. — Panna Maryelna z Oporowa. — Wojewódzkie Spiski. Trzy powieści. Z rycin., w opr. — 75
- Dyakowski B. Nasz las i jego mieszkańcy. Opisy przyrody. Z licznymi rycinami, brosz. kop. 80, w oprawie 1 —
- Ellis E. S. Przez ogień i przez lasy. Powieść, z 4-ma rycinami kop. 50, w oprawie — 60
- Gębarski St. Skarby na dnie Wisły. Opowiadanie. Z 4 rycinami, brosz. kop. 50, w oprawie — 60
- Green H. Brat ociemniały. Powieść. Wydanie II; z rycinami, brosz. kop. 50, w oprawie — 60
- Gruszecki A. Wśród Tatarów. Powieść dla młodzieży, z licznymi rycinami i winiętami, brosz. rb. 1, w oprawie kartonowej 1 20
- D'Hervilly E. Przygody chłopczyka przedhistorycznego. Opowiadanie. Z 15 rysunkami, brosz. kop. 80, w opr. ozdobnej 1 —
- Höcker P. O. Olimpijezyk. Opowiadanie z czasów Peryklesa. Z 8 rycinami, brosz. rb. 1 k. 20, w opr. ozd. w płótno ang. 1 50
- Król K. W kraju piramid. Opowiadanie z dziejów Egiptu, podług Minchsanga. Z 4 rycinami kolorowemi k. 80, w ozd. opr. 1 —
- Łopuszańska M. Odzyskany. — W wiejskiej zagrodzie. Dwie powieści, z 4 rycinami, w oprawie kartonowej — 75
- Małł n. W tajemniczym kraju. Powieść. Z licznymi rycinami, brosz. kop. 50, w oprawie — 60
- Marrené W. Trzydzieści lat wśród dzikich. Przygody L. de Rougemont'a, z 5 rycinami, w oprawie — 75
- Meandie F. Robinson napowietrzny. Powieść, z 4-ma rycinami, brosz. kop. 50, w oprawie — 60
- Nansen F. Wśród lodów i nocy. Opracowanie dla młodzieży Wł. Umińskiego, z licznymi rycinami, w oprawie — 75
- Normand C. Szmaragd Inkasów. Powieść, z 4 rycinami, brosz. kop. 60, w oprawie — 80
- Popławski J. Ciekawe obrazy z życia ludów. Z 12 tablicami kolorowemi i 12 drzew., brosz. rb. 1 k. 35, w ozdobnej opr. 1 60
- Podania o starożytnych Półbogach i Bohaterach Greków i Rzymian. Z 12 chromolitografowanymi rycinami i licznymi drzeworytami, brosz. rb. 1 kop. 50, w ozdobnej oprawie 1 80
- Przyborowski W. Atylla, Bicz Boży. Opowiadania historyczne według dzieła P. O. Höckera, z 6 ryc., brosz. k. 90, w opr. 1 20
- Zagubione czytelniki dla młodzieży. Powiastki przez Zb. Kamińskiego, Artura Lubicza i Edwarda Trojana. 1. W pobliżu bieguna. — 2. Na pustyni Saharze. — 3. Wychowaniec gajowego. 4. Balonem nad Australją. — 5. Król puszczy węgierskiej. — 6. W dziewiczych lasach Ameryki. — 7. Córka osadnika. — 8. W podziemiach ruin. — 9. Z wieków średnich. — 10. Syn rycerza. — 11. Opatrzność Boska. — 12. U ojca chrzestnego. — 13. Dziesięć dni na tratwie. — 14. Z młodości dziadunia. — 15. Między wilkami a Indjanami. — 16. Mały bohater.
- Każda powiastka w kolorowej okładce z obrazkiem. 15